

2285

A





B.4302

RAZEM, MŁODZI PRZYJACIELE!

234302

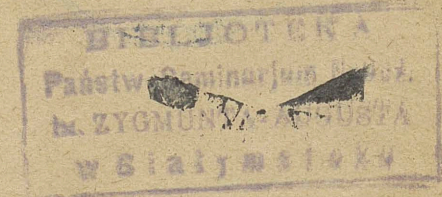
22850

EDWARD SŁOŃSKI

RAZEM, MŁODZI PRZYJACIELE!

ILUSTRACJE BOGDANA NOWAKOWSKIEGO

4308



WARSZAWA — MCMXXIII

WYDAWNICTWO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ SPOŻYWCÓW
SKŁAD GŁÓWNY DLA KSIĘGARNI: „KSIĄŻNICA POLSKA”

C.336

Wydawnictwo Wydziału Propagandy
Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywców
Warszawa - Mokotów, ulica Grażyny Nr. 13.
Tel. Redakcji 188-73. Działu Sprzedaży 261-66.



821.162.1-93 884-93

Zakłady Graficzne Pracowników Drukarskich
Warszawa, ul. Nowolipie 11. Telef. 242-40.

422.2

KOCHANI CZYTELNICY!

Zdziwicie się, zapewne, oglądając moje obrazki w tej książce.

Jesteście bowiem przyzwyczajeni do tego, że artysta-illustrator starał się zawsze odtworzyć możliwie najdokładniej na swoim rysunku to, co autor opisuje w powieści, a więc: bohaterów tej powieści i wszystkie wypadki, w których oni biorą udział.

Ja zaś, jak widzicie, nie starałem się zupełnie rysować bohaterów powieści Edwarda Słońskiego, zarówno jak i tych wypadków, które oni przeżywają. Natomiast dałem Wam obrazki, które, napozór, nie mają nic wspólnego z opowiadaniem autora. Jeżeli, jednak, uważnie przeczytacie tę książkę, to przekonacie się, że, mimo wszystko, obrazki moje zgodne są z jej treścią.

Każda bowiem książka ma swoją duszę.

Tą duszą jest myśl lub idea, którą autor chciał za pomocą swej książki wyrazić.

Edward Słoński, pisząc tę książkę, miał właśnie zamiar pokazać Wam pewną ideę i przekonać Was o jej wartości

Postarałem się zrozumieć tę ideę. Wydała mi się ona bardzo piękną. Postarałem się więc tak wykonać moje obrazki, abyście przy ich pomocy lepiej ją zrozumieli.

Zresztą zarówno ta powieść, jak i rysunki wzięte są z Waszego życia i dlatego tworzą harmonijną całość.

Bogdan Nowakowski.

I

Park Ujazdowski kąpie się w słońcu wrześniowego popołudnia. Gdyby nie żółknące tu i ówdzie gałęzie kasztanów, z jaskrawej zieloności trawników sądziłby można, że jest wiosna.

Piotruś Chwalibóg i Grześ Migaj idą przez park boczną dróżką w stronę stawu. Są uczniami klasy piątej gimnazjum państwowego i obaj wczoraj powrócili z wywczasów letnich do Warszawy. Piotruś bawił u rodziców na Litwie, Grześ w Częstochowie u matki.

Są do siebie niepodobni i nie robią wrażenia rówieśników. Piotruś jest mały i wątły. Na bladej jego twarzyczce nie widać śladów słońca, ani ciepłego oddechu pogody lipcowej. Za to Grześ w przeciwieństwie do niego jest opalony, jak cygan, choć lato spędził w Częstochowie w ciemnym mieszkanku matki gdzieś na Ostatnim Groszu. Przytem jest barczysty i znacznie wyższy od Piotrusia.

Idą teraz w słońcu boczną dróżką w stronę stawu i śmieją się do siebie. Byli obaj gdzieś daleko poza Warszawą, mają sobie dużo do powiedzenia.

— Że też musieliśmy się tak zaraz po przyjeździe spotkać na mieście! — mówi Piotruś.

— Taki traf.

— Ja bo przyjechałem wczoraj.

— I ja wczoraj.

Gwar głosów dziecięcych, jak kolorowe piłki, toczy się z alei głównej po zalanym słońcem trawniku. Słysząc sygnały samochodów i dzwonki tramwajów.

— Dobrze, że się już te wakacje skończyły — mówi Piotruś. — Na wsi deszcze padały i było nudno.

— A jabym wolał, żeby wakacje trwały jak najdłużej.

— Tybyś wolał! — dziwi się Piotruś.

— A tak, bo widzisz, ja zarabiałem przez lato i zebrałem trochę pieniędzy. Może wystarczy na kupno książek. A gdyby wakacje potrwały nieco dłużej, uzbierałbym i na opłacenie wpisu. Bo, widzisz, my jesteśmy biedni. Tatuś był urzędnikiem kolejowym i żadnych pieniędzy nam nie zostawił.

Piotruś patrzy na Grzesia z zachwytem.

— Zarobiłeś na książki.. sam zarobiłeś! — powtarza zdumiony.

Grześ uśmiecha się z triumfem.

— Oczywiście sam. Patrz, to wszystko moje pieniądze.

To mówiąc, wydobywa z kieszeni starannie złożone banknoty. Piotrusiowi zdaje się, że Grześ ma bardzo dużo pieniędzy — całą paczkę.

Więc jest zdumiony. Jakim sposobem Grześ zarobił tyle pieniędzy?

— Czy dawałeś lekcje? — pyta.

— Nie, to nie lekcje. U nas, w Częstochowie, lekcje dają studenci. Ja pracowałem w sklepie i potem w biurze handlu towarami kolonialnymi. W sklepie tym pracuje mama. Ztazu po przyjeździe na wakacje, nie mając co robić, poszedłem pomóc jej w pracy i już nazajutrz miałem posadę samodzielną. Pakowałem różne towary, ważyłem kaszę, mąkę, cukier... A po miesiącu siedziałem nad dużymi książ-



Życie szkolne, pozbawione pierwiastka wspólnych poczynań, stwarza atmosferę, w której uczucie koleżeństwa małą gra rolę. Każdy czuje się sam i robi, co mu się podoba. Koledzy z wyższych klas z góry patrzą na kolegów z klas niższych.

kami w biurze, sprawdzałem różne pozycje, dodawałem, odejmowałem i patrz, ile zarobiłem.

Ściska palcami grubą paczkę banknotów.

— Bardzo dużo.. — mówi z dumą.

Piotruś z podziwem patrzy na Grzesia. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że i on może zarabiać. Wszakże jest już w piątej klasie. Trzeba będzie koniecznie pomyśleć o jakim zarobku.

— Rzeczywiście dużo zarobiłeś... — mówi. — Ale książki są drogie.

Grześ chowa do kieszeni pieniądze. Potrząsa głową, patrzy z dumą przed siebie. Na przyszły rok zarobi dwa razy tyle, bo jeśli książki są drogie, to tego nie wystarczy.

— Powiadasz, że są drogie? — mówi po chwili.

— O tak... byłem dziś w księgarni. Są o wiele droższe, niż w roku zeszłym.

Grześ dotyka ręką kieszeni, w której leżą pieniądze.

— Wakacje były stanowczo za krótkie! — mówi i idzie dalej.

Są teraz obaj przy klombie, który barwnym kobiercem leży na środku parku. Dokoła skaczą małe dzieci i piłki. Kaskady śmiechów dziecięcych spadają na kolorowe desenie kwiatów. Ale kwiaty już nie pachną — lato wyssało z nich ten dziwny zapach, który im dała wiosna. Grześ, który był tu w maju, a całe lato przesiedział w sklepie i w biurze, od razu zauważył tę różnicę. Zatrzymał się i oczy przy-mrużył.

— To jednak jest już jesień — powiedział. — Te kwiaty wcale nie pachną.

— Bo tu na klombie to nie są kwiaty pachnące — zauważył Piotruś.

— O nie, one w maju pachniały.

Ale Piotruś nie czuł tej różnicy. Lato spędził na wsi gdzieś daleko pod Wilnem. Codzień patrzył na kwiaty, które rosły na klombie przed gankiem i nie zauważył, że te nawet nie pachnące tracą z dniem każdym swój subtelny zapach i barwy. Teraz zaś myśl jego była zajęta czem innym. Myślał o letnich zarobkach Grzesia i o tem, że sam mógłby również coś przez lato zarobić, gdyby spędził je w mieście.

Doszli do stawu i usiedli na ławce. W gładkiej, jak lustro, tafli stawu naprzeciwko nich przeglądały się jakieś drzewa podobne do wierzb płaczących. Białe, jak śnieg, łabędź kąpał się w wodzie i słońcu.

Obaj chłopcy myśleli o rozpoczynającym się nazajutrz roku szkolnym. Piąta klasa mieści się w pokoju narożnym, najładniejszym w całej szkole. Umówili się, że przyjdą wcześniej, żeby zająć miejsca w pierwszym rzędzie.

— Ciekaw jestem tych nowych kolegów — powiedział Grześ.

— Jakich? — zapytał Piotruś.

— Tych, co na drugi rok zostali w piątej.

— Nie wiesz kto?

— Podobno Janek Nienaski i Julek Żarowicz.

— Ten Słoń?

— Tak, Słoń.

Julka Żarowicza cała szkoła nazywała Słoniem. Był duży i niezgrabny i chodził, kołysząc się na grubych nogach, jak słoń prawdziwy. Poza tem był Julek leniuchem i wielkim nicdobrego. Brał udział w każdej awanturze i cieszył się jak najgorszą opinią.

— Więc Słoń będzie teraz u nas! — zawołał Piotruś.

— Wcale się z tego nie cieszę — zauważył Grześ. — Nie lubię tego Słonia. Dwa lata siedział w klasie czwartej, teraz został w piątej. Jest już dorosłym człowiekiem i nie rozumie, że tak nie można się uczyć. Jest o wiele od nas starszym i pewnie zechce teraz rej wodzić w klasie.

— Chyba mu się to z wieku i urzędu należy.

— O tak, z urzędu...

— Cóż chcesz, po dwa lata w klasie.

— A tak, po dwa lata. Jest synem niezamożnych rodziców. Ojciec jego podobno ma mały sklepik na Tamce, matka zajmuje się szyciem bielizny, a on zamiast wziąć się do pracy, zbija baki.

Gdzieś daleko na ulicy zaryczał samochód, biały łabędź na stawie wygiął szyję i podpłynął do brzegu.

Grześ zamyślił się. Martwiła go naprawdę myśl, że Julek będzie w ich klasie. Był sam uczniem wzorowym i nie mógł zrozumieć, jak można nie odrabiać lekcji, albo nie słuchać przełożonych. W głębi ducha postanowił sparaliżować wpływ Julka na kolegów i wypowiedzieć mu wojnę. Nie wiedział jeszcze, jak swój zamiar wykona, ufny jednak w swoje siły, był pewny zwycięstwa.

Piotruś był innego zdania. Jemu imponowało trochę przysze koleżeństwo z Julkiem, który miał opinię siłacza, na gimnastyce podnosił jakieś niesłychane ciężary, borykając się każdego przeciwnika kładł na obie łopatki, a razu pewnego podobno, jak utrzymywała fama, gdzieś na Tamce, uciepiwszy się koła, zatrzymał dorożkę. Piotruś więc teraz uważał za stosowne stanąć w jego obronie.

— Kto wie, czy Julek nie został na drugi rok przez to wojsko — powiedział, wyprostowując się, jak struna, wyraz bowiem „wojsko” przypomniawszy mu, że się garbi — wszakże wówczas zmarnował prawie miesiąc czasu.

— Ależ on i tego nie traktował na serio — zaoponował Grześ. — Dużo nam opowiadał o wojsku, o obronie Lwowa, a w ostatniej chwili się cofnął.

— Mówił, że rodzice nie chcieli się zgodzić.

— Rodzice! Wiesz dobrze, że rodziców zawsze można przekonać, skoro chodzi o taką rzecz, jak obrona ojczyzny. Właśnie nie podoba mi się w Julku ta nieszczerłość. Chciałem i nie mogłem — rodzice nie pozwolili. Ciekaw jestem, czy i na te wszystkie awantury, które wszczyna, również uzyskuje pozwolenie rodziców.

Piotruś parsknął śmiechem. Jakby to, wyglądało, gdyby Julek na bijatyki, których był prawdziwym amatorem, uzyskiwał pozwolenie rodziców! Powaga Grzesia również przysła odrazu.

— Co? Tylko wyobraź sobie minę starego Żarowicza udzielającego Julkowi pozwolenia na bijatykę. Zaczęli się śmiać wesoło i głośno... Śmiech ich zagłuszył dochodzący



Samotność, brak wspólnych poczynań, niejednego popycha do nie właściwych postępów, wynikających z bezmyślnego i śmiesznego naśladowictwa.

od klombu gwar głosów dziecięcych i przeraził łabędzia. Zrazu zwarł skrzydła, potem je nastawił, jak żagle, jednym okiem zmierzył śmiejących się chłopaków i, pełen statecznej pogardy, odpłynął w stronę kamiennego mostu.

Ale Piotruś i Grześ nie zauważyli jego manewrów i w dalszym ciągu śmieli się wesoło.

Po chwili Grześ wydobył z kieszeni pieniądze i zaczął je liczyć.

— Wciąż mi się zdaje, że zgubię cały swój majątek — powiedział, chowając je znowu do kieszeni.

— Ciekaw jestem, czy też wystarczy ci na książki? — zagadnął po chwili Piotruś.

— Musi wystarczyć, bo mi już mama na to jednego grosza nie będzie mogła dać. W najgorszym razie nie kupię wszystkich.

Piotruś się zamyślił.

— To ci będę pożyczał — powiedział po chwili.

— Dziękuję ci... ale poczekaj! mam myśl.

Piotruś otworzył usta i zamienił się w słuch. Grześ ma zawsze jakieś pomysły.

— To, co my robimy z podręcznikami, nie ma najmniejszego sensu — powiedział po chwili Grześ — wszystkie stare niesiemy do antykwarni i sprzedajemy za darmo po to, by je zaraz antykwariusz odprzedał naszym młodszym kolegom za grube pieniądze. Czyż nie byłoby stokroć lepiej, gdybyśmy prowadzili handel wymienny między sobą bez pośrednika.

— Masz rację, ale jak to zrobić?

— Jak? — powtórzył za nim Grześ i zamyślił się.

Stało przed nim naraz tysiąc pytań. Nie może przecież klasa piąta wymieniać podręczników z szóstą, bo szóstej nie są potrzebne podręczniki klasy piątej. Więc jak to zrobić?

Siedzieli chwilę, milcząc. Łabędź, ośmielony ich milczeniem, podpłynął znowu i zaczął na nich patrzeć jednym

okiem zpodobna, jakby wyczekując aż mu któryś z nich rzuci kromkę chleba. Chłopcy jednak, zajęci sprawą wymiany podręczników, wcale nie widzieli jego wyczekujących spojrzeń i ruchów.

— Już wiem! — zawołał wreszcie Grześ. — Do jutra to jakoś obmyśle.

To rzekłszy, zrobił tajemniczą minę, jakby czegoś nie chciał jeszcze Piotrusiowi powiedzieć. Ale Piotruś wiedział, że Grześ jeszcze sam nie wie, jak ma to przeprowadzić, więc zaczął mówić o czym innym.

— Aleś swoją drogą dużo zarobił! — powiedział.

— Byłbym zarobił więcej, gdybym po biurze pracował jeszcze w sklepie, ale mama nie chciała się na to zgodzić.

— Wszystkie mamy są jednakowe — pomyślał Piotruś i wstał z ławki.

— Już piąta — powiedział — a ja o piątej miałem być w domu, bo dzisiaj mama wyjeżdża. Może mnie odprowadzisz na Piękną.

— To mnie po drodze! — zawołał Grześ i obaj skierowali się w stronę alei głównej. Po chwili jęły koło nich skakać kolorowe dzieci i niemniej kolorowe piłki i gdzieś blisko za sztachetami zadzwonił tramwaj.

II

Grześ mieszkał na ulicy Żórawiej u pani Jagielskiej w małym parterowym mieszkanku od podwórza. Pani Jagielska była praczką z zawodu i całe jej mieszkanie, prócz pokoiku, który zajmował Grześ, składające się z jednego dużego pokoju i kuchni, było jedną wiecznie funkcjonującą pralnią. Unosił się tam w powietrzu gryzący zapach ługu i bielidła i gruba stara Marcinowa od rana do wieczora uwijała się nad balją wśród kłębow pary i dymu, wówczas, gdy sama pani Jagielska pod oknem zmagiała się z ciężkimi żelazkami. Były one dla niej z każdym rokiem cięższe i wywoływały u niej pod swoim adresem coraz więcej gorzkich wyrzutów.

Pani Jagielska była ciotką Grzesia, a że była wdową bezdzietną, kochała go, jak własnego syna. Grześ odpłacał jej tem samem. Dziś, powróciwszy ze spaceru, przedewszystkiem udał się do pani Jagielskiej na pogawędkę. Od rana był na mieście i jeszcze nie zdążył opowiedzieć jej nowin częstochowskich, teraz więc usiadł pod oknem, pod którym pani Jagielska prasowała bieliznę, i zaczął opowiadać jej o troskach i kłopotach matki i o tem, jak pracował w sklepie i ile zarobił. Z dobrym uśmiechem na ustach wysłuchiwała opowiadania jego ciotka, nawet zrazu wierzyć nie chciała, że tyle zarobił. I stara Marcinowa z nad balji wyraziła mu swój zachwyt...

— Pan Grześ to nie tak, jak inne chłopaki, co to baki zbijają, choć nic nie mają.

Szaro już było na dworze, kiedy, dumny z samego siebie, udał się Grześ do swego pokoju. Mroczno tam było i nieprzyjemnie. Nierozpakowany jeszcze kosz zajmował cały środek pokoju. Mieścił się w nim cały majątek Grzesia — ubranie, bielizna, książki i różne pamiątki wojenne, których

zbieraniem zajmował się od lat paru. Na stole pod oknem stał kałamarz i leżał otwarty kajet. Nad łóżkiem wisiały fotografie rodziców i mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, ofiarowany przez matkę w dniu, w którym po raz pierwszy wyjeżdżał z Częstochowy do Warszawy.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Grześ wyjął z kosza wszystkie zeszłoroczne podręczniki i rozłożył je na stole. Co dadzą za nie w antykwarni? Prawie nic... a nowe są drogie... Sprawa wymiany podręczników była rzeczą pilną, uczniowie bowiem zwykle sprzedawali i kupowali podręczniki zaraz po rozpoczęciu roku szkolnego. Zrazu nie wiedział, jak do tego

przystąpić i po głębszym dopiero namyśle przyszedł do przekonania, że trzeba będzie wpierw pozbierać książki od kolegów, dając im wzamian kwity na prawo otrzymania innych, potem zaś dnia następnego rozdać posiadaczom kwitów książki, których będą potrzebowali. Ułożywszy sobie taki plan działania na dzień jutrzejszy, zabrał się do rozpakowywania rzeczy, co zajęło mu czas do wieczery. O dziewiątej leżał już w łóżku i zasypiał.

Nazajutrz pierwszy wchodził do klasy.



Nie jeden, nie wiedząc co robić z czasem, w wolnych od nauki chwilach, poddaje piec i bezmyślnie trwoni drogie godziny.

Zaraz po nim wpadł Piotruś.

— Jesteśmy pierwsi! — zawołał.

— Jak widzisz — odrzekł Grześ.

— Gdzie siądziemy?

Wybrali ławkę środkową w pierwszym rzędzie. Ławki tej będą im zazdrościli koledzy. Położyli swoje teczki z książkami i sami poszli na korytarz.

— Chodź do kancelarii — zawołał Grześ — może zastaniemy już dyrektora.

— Dyrektora! — zdziwił się Piotruś.

— A przecież mamy zająć się wymianą książek.

— Prawda! zupełnie zapomniałem o tem.

W bardzo dobrym humorze był pan dyrektor. Siedział za dużym biurkiem w kancelarii i przeglądał jakieś papiery, a znać było, że to robi dla zabicia czasu, bo ledwie ich zobaczył, odłożył je na stronę.

W krótkich słowach wyłożył Grześ swój projekt i prosił o pozwolenie wywieszenia ogłoszenia o wymianie podręczników na korytarzach i w szatni.

— To tylko na jeden dzień, panie dyrektorze — tłumaczył się, przerażony śmiałością swojej propozycji.

Ale pan dyrektor był w bardzo dobrym humorze. Podał mu się projekt Grzesia.

— Owszem, wywieś ogłoszenia i zajmij się tem — powiedział. — Tylko tak urządz, żeby przy wymianie był delegat z każdej klasy, bo samemu będzie ci trudno orjentować się w podręcznikach.

Uklonili się grzecznie dyrektorowi i wypadli na korytarz uszczęśliwieni.

— Trzeba zaraz wykalfigrafować ogłoszenia, a w czasie pauzy pójdziemy po klasach — mówił Grześ, pędząc po schodach na górę.



Ten „zwagarował” w pojedynkę i liczy obłoki na niebie.

Wykaligrafowanie jednak ogłoszenia przyszło się odłożyć na potem, obstarpi ich bowiem koledzy, zasypali gradem pozdrowień i pytań.

— Servus Grześ! — wołał z pod pieca długi, jak tyka, Kuśmierczyk, Jędrus Kuśmierczyk, najzabawniejszy chłopak z całej klasy.

— A jest i Piotruś! Servus Piotruś! Myślałem, że cię gdzieś w świętym mateczniku litewskim wilki zjadły, a tu patrzę jest.

Rozstawił ręce i szedł do nich, jak strach na wróble, nieproporcjonalnie długi i cienki. Twarz mu się komicznie zmarszczyła w uśmiechu, małe oczka zginęły, a śmiały się tylko naprawdę grube, szerokie usta.

— Niech was uścisknę! — wołał.

— Jak się macie? — krzyczał z pod okna mały, tęgą, prawie okrągły Jacek Bałaban, Futbolem zwany, postać bowiem jego ogromnie przypominała piłkę nożną.

— Piotruś! Grześ! — krzyczeli chłopcy, otaczając nowoprzybyłych zwartem kołem.

Tylko Julek Żarowicz nie brał udziału w tem powitaniu. Siedział rozparty na jednej z ostatnich ławek i uśmiechał się protekcyjnie. Był o wiele od nich starszy, gdyby chciał, byłby już w ósmej klasie. Muszą mu być wdzięczni, że nie chciał i że jest teraz z nimi.

W zamęcie, który się wytworzył, Grześ znalazł się obok niego.

— Julek, ty tu! — zawołał.

— Nie, tam! — odrzekł Julek, wskazując ręką na sufit. Uczniowie wybuchnęli śmiechem.

Usposobiło to Julka do nich dobrze. Tym smykom podobał się jego dowcip.

W trakcie tego na korytarzu ozwał się dzwonek, w klasie powstał rumor niesłychany i ucichł naraz, bo we drzwiach ukazał się nauczyciel.

Pan Białecki, dobry pan Białecki, profesor historii i opiekun klasy!

Wszyscy wstali, potem wszyscy usiedli.

Rozpoczęła się lekcja, którą Grześ lubił bardzo — lekcja historii.

— Piotruś, uważaj! — zawołał z westchnieniem — ja ułożę ogłoszenie.

Łatwiej to jednak było powiedzieć, niż zrobić. Ledwo zaczął układ, wyrosły przed nim jakieś stylistyczne nieporozumienia, jakieś trudności niesłychane, nad którymi tak długo łamał sobie głowę, że dopiero w połowie lekcji mógł podsunąć Piotrusiowi do przejrzania swój projekt.

Zaczynał się od wyrazu: koledzy! zawierał wszystko, co było potrzeba.

Piotruś czytał i podziwiał Grzesia.

— Bardzo dobrze to napisałeś — szepnął.

Jeszcze przed dużą pauzą wszystko było gotowe. Na korytarzach i w szatni wisiały pięknie wykaligrafowane ogłoszenia. A podczas pauzy Grześ z Piotrusiem obchodzili klasy i tłumaczyli kolegom, jakie korzyści mieć z tego mogą i prosili o wydelegowanie jednego z każdej klasy na zebranie, które zaraz po lekcjach odbędzie się w klasie piątej.

Najwięcej trudności do przewyciężenia mieli u siebie. Szkaradny Julek chciał wszystko obrócić w żart.

Ledwie Grześ skończył swoje przemówienie, zawołał z końca sali wyzywająco:

— A nie macie tam większego zmartwienia?

Wszyscy spojrzeli w jego stronę. Nikt nie rozumiał jego dowcipu, który był zupełnie nie na miejscu. Pierwszy odezwał się Grześ:

— Narazie nie mamy! — odpowiedział

— To szkoda, bo ja mam — zawołał Julek i, pogwizdując głośno, wyszedł z klasy.

Nikt nie rozumiał, co ten wybryk miał znaczyć i wszyscy bardzo prędko przeszli nad nim do porządku.

Na delegata wybrano Piotrusia.

Niewiadomo na kogo i za co aż do końca lekcji gniewał się Julek Żarowicz, ale, że się gniewał to wszyscy widzieli. Siedział bowiem nadęty i udawał, że nikogo nie widzi.

Przecie tak zwykle wyglądają ludzie zagniewani.

Tymczasem lekcje się skończyły i do klasy zaczęli schodzić się delegaci. Wkrótce też wszyscy byli w komplecie. Nie stawiał się jedynie delegat klasy wstępnej. Ten w chwili, kiedy szedł na zebranie, spotkał się z matką. Przyszła by odprowadzić go do domu i nie chciała czekać na korytarzu, zanim zebranie się odbędzie. Nie pomogła interwencja Grześia. Najmłodszy kolega poniósł mandaty swoje na obiad do domu.

Za to Stefanek Kotarski delegat klasy pierwszej był niezrównany. Chodził z podniesioną dumnie głową i z rączkami w kieszeniach, jakby był conajmniej ośmioklasistą. Przytem nadymał się niesłychanie i robił dużo hałasu. Zdawało się, że chodzi mu o to, żeby wszyscy zauważyli doskonale, że jest delegatem. Jakoż wszyscy, nawet ośmioklasista Stach Niniewski, nazywali go kolegą i mówili do niego: wy. I Stefanek Kotarski nadymał się coraz więcej, aż wreszcie, gdy

Grześ swój projekt zebraniem opowiedział i biedził się nad sprawą oceny podręczników, wstał i poprosił o głos.

Stefanek Kotarski miał bardzo słaby głos i, pomimo rąk włożonych do kieszeni, rozpoczął swoje przemówienie bardzo po dziecinemu. Dopiero kiedy się rozgadał, koledzy przekonali się, że ma rację. Proponował, żeby wziąć z księgarni najnowszy katalog i płacić podług niego kwitami za otrzymane od kolegów podręczniki. Nazajutrz zaś koledzy będą mogli za te kwity kupować również podług cennika księgarni potrzebne im książki, przyczem różnicę można pobierać i wypłacać gotówką.

— Brawo! kolega Kotarski! — zawołał ośmioklasista Niniewski — Macie bardzo dobrą myśl, tylko należy ją rozwinąć. Naprzykład, za zniszczone podręczniki będziemy płacili tylko połowę ceny katalogowej i sprzedawali za połowę ceny.

— Oczywiście... oczywiście... — zawołali zebrani.

Stefanek Kotarski poczerwieniał, jak burak, z zadowolenia.

Grześ podjął się wydostać z księgarni katalog i kupić bloczek na kwity.

W końcu zebrani uchwalili, że stosownie do wywieszonych ogłoszeń wszyscy zejdą się na pół godziny przed rozpoczęciem lekcji w szatni, gdzie będą przyjmowali od kolegów książki i podczas dużej pauzy i potem po lekcjach.

To uchwaliwszy, jeli się rozchodzić.



*Gdy panuje zasada „każdy dla siebie”,
wszelkie spory zwykłe rozstrzyga pięść,
prawo, silniejszego.*

Ostatni wyszedł Grześ z Piotrusiem.

Był piękny dzień i słoneczny. Wielkie, przepełnione ludźmi miasto kąpało się w słońcu. Na ulicach ruch był niezwykle ożywiony.

Na Nowym-Świecie wstąpili do księgarni po katalog. Z trudem docisnęli się do środka, tyle było dzieci, kupujących książki.

— Jutro będziemy mieli taki sam tłok u siebie — zauważył Piotruś żartobliwie.

Ale Grześ uwagę Piotrusia przyjął naserjo.

— Prawdopodobnie będą się tłoczyli — powiedział.

Wychodząc, przejrzeni katalog. Był niekompletny, zawierał tylko wydawnictwa tej firmy. Piotrusiowi przeto polecił Grześ zdobyć inny.

Umówiwszy się, że się spotkają po obiedzie w parku Ujazdowskim, rozstali się na rogu Żórawiej i placu Trzech Krzyży.

Grześ z triumfem podczas obiadu opowiadał pani Jagielskiej o tem, co zrobił.

— To widzę, że masz zdolności handlowe... — zauważyła ciotka.

Ale nie o taką pochwałę chodziło Grzesiowi. Zgóry wiedział, że dobra, kochana ciocia go nie zrozumie. A tu, jak na śmiech, do rozmowy wtrąciła się stara Marcinowa z pod pieca. Fartuchem usta otarła i zawołała:

— Nasz pan Grześ to ministerka głowa!

— Niech już i tak sobie będzie! — powiedział na to Grześ, uśmiechając się pobłaźliwie. — Ministerska, to ministerska.

Po obiedzie rozpakował rzeczy, poukładał na stole książki i kajety i o godzinie umówionej poszedł do parku Ujazdowskiego.

Przyszedł za wcześnie, więc wpadł koło klombu między dzieci i takiego im z piłkami narobił zamętu, że sam w koń-

cu nie wiedział, czy jest piątklasistą, czy owym delegatem klasy wstępnej, któremu mama nie pozwoliła iść na zebranie.

Miał ręce pełne piłek, podrzucał je i śmiał się, patrząc na zdumione i przerażone twarzyczki bąków, które obstąpiły go kołem.

— To jest moja piłeczka!

— A ta moja! — wołały.

— Jeśli wasze, to je łapcie! — krzyczał Grześ i małe piłeczki tańczyły w słońcu dokoła niego jak muchy...

Piotruś zastał go przy tej zabawie. Cisnął w niego pierwszą złapaną piłką.

Grześ podniósł głowę i naraz stoczyły się z niego wszystkie piłki, jakby go ktoś pozbawił tej siły odśrodkowej, która je w ruch puszczała.

To widząc, dzieci rzuciły się z wrzaskiem na niego.

— Ta jest moja piłeczka!

— A ta moja!

— Bierście je! — zawołał i podbiegł do Piotrusia.

Wzięli się za ręce i poszli w stronę stawu.

— Coś ty się tak rozbrykał? — zapytał go Piotruś.

— Wesoło mi!

Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, co było przyczyną tej wesołości i cieszył się, jak dziecko. Piotruś zaś był nastrojony poważnie, był wszakże delegatem klasy piątej i jutro od rana miał zamiar stanąć do roboty.

Usiedli na tej samej ławce, na której siedzieli wczoraj.

Staw był gładki, jak lustro. Drzewa stały nad nim nieruchome, bladym słońcem jesiennego popołudnia zalane.

Powaga Piotrusia udzieliła się Grzesiowi.

— Czy dostałeś katalog? — zapytał, kiedy usiedli na ławce.

— Dostałem.

Wydobył z kieszeni i podał.

— Teraz już mamy ceny wszystkich podręczników — powiedział.

Grześ przebiegł oczyma tytuły.

— O tak, teraz są wszystkie — powiedział, oddając Piotrusiowi katalog.

Piotruś schował do kieszeni i odetchnął z ulgą, jak człowiek który wykonał jakąś ciężką robotę.

— Udało się — zawołał chełpliwie.

— Właściwie jeszcze nic się nie udało — powiedział Grześ — oczywiście na wymianie podręczników oszczędzimy wszyscy, ale mnie nie o to chodziło.

— Nie o to ci chodziło... — powtórzył Piotruś zdumiony do najwyższego stopnia.

Wcisnął głowę w ramiona i wytrzeszczył oczy.

— A o co? — zapytał po chwili marszcząc czoło.

— Kiedy nie wiem czy potrafię ci to wytłumaczyć.

Jeszcze większe zdumienie odbiło się na twarzy Piotrusia. Coby to mogło być? pytały jego zdziwione oczy.

Grześ się zamyślił! Patrzył przed siebie na słońcem zalany staw i na nieruchome drzewa nad stawem.

— Bo widzisz — zaczął po chwili — nam się jeszcze nie udało, ale nam się może udać i nawet powiem — nam się musi udać. Bo widzisz chodzi głównie o to, żebyśmy się



Wydaje się wielką przyjemnością podstawienie nogi koledze.

nauczyli wspólnie żyć. Dlatego musimy zacząć wykonywać pewne rzeczy wspólnie. Musimy być, jak żołnierze. Czy widzialesz, jak oni idą ulicą? Oni idą razem, równo. A dlatego tak idą, bo ich uczono chodzić wspólnie. I nas musi złączyć jakaś wspólna praca, czy wspólna sprawa. Taką wspólną sprawą narazie jest wymiana podręczników... A potem może jeszcze coś innego obmyślimy. Bo widzisz, ty musisz mi pomóc. Będziemy wciąż coś robili wspólnymi siłami, żeby potem, kiedy przyjdzie chociażby taka sprawa, jak obrona Lwowa, umieć razem iść, jak ci żołnierze... tak równo, jak oni, i tak razem, jak oni...

Rozpromienił się Piotruś, aż blask od niego padł na Grzesia.

— Ach, Grześ, jak ty to ładnie powiedziałeś! Trzeba umieć razem iść — to prawda.

Przysunął się nieznacznie i ucałował Grzesia prosto w usta.

— To prawda, Grześ!

— Tak... tak... — powtarzał Grześ — wspólnymi siłami.

I naraz poczuł, że jakaś radość niezwykła rozpiera mu piersi, że lada chwilę zacznie krzyczeć i nie będzie mógł usiedzieć na miejscu.

— Będziemy się gonić! — zawołał — i runął, jak szalony, w stronę klombu.

— Dobrze! — gdzieś daleko za nim krzyczał Piotruś.

Wpadli, jak huragan między bawiące się dzieci, zdobyli sobie najlepszą piłkę i piłka oderwała się od ziemi i jęła biegać po powietrzu i słońcu nad kolorowym kwietnikiem, a tak się przyklejała do rąk, że ani razu nie spadła na zwirowaną dróżkę.

Jakiś chłopak ośmioletni, czarny od słońca, gonił ją załawionymi oczami.

— To moja! — krzyczał za ośnie — To moja!

— Kiedy się nam do rąk przykleiła! — śmiał się Grześ.

— Patrz, sama leci! — wołał Piotruś.

I piłka w samej rzeczy, jakby sama leciała, aż chłopaczyna zaczął się sam z tego śmiać, a im omdlały ręce. Wówczas usiedli na ławce między dziećmi i opowiadali jakieś niesłychane historie o czasach przedwojennych, kiedy grzyby nie były jeszcze inwalidami i miały po dwie nogi. Każdy grzyb miał dwie nogi.

Z niedowierzaniem słuchały dzieci. Na żadnym obrazku nie widziały takich grzybów na dwóch nogach.

Ale Piotruś utrzymywał, że napewno były.

Wówczas Grześ zaproponował, żeby tę sprawę przegłosować.

— Były!

— Nie były!

— Były!

— Napewno były!

— Cała dróżka zatkana dziećmi śmiała się z tych grzybów, a najgłośniej śmiał się sam Grześ, którego ponosiła jakaś niesamowita wesołość.

Wreszcie słońce zaszło i dzieci gdzieś się zapodziały... Może powsiąkały w zmierzchy wieczorne, a może do krasnoludków poszły na kolację? Kto wie? One zawsze są w jakiejś bajce...

— Ale czas już i na nas — zawołał Piotruś, gdy zostali sami — przecie jutro trzeba będzie wstać wcześniej.

Jakoż nazajutrz skoro świt Grześ był już na nogach. Zajrzał do kuchni wcale nie w sprawie herbaty, a stara Marcinowa wnet zaczęła wydziwiać.

— Akurat pan Grześ zwarjował. Jeszcze szósta na zegarze, a pan Grześ już ubrany... Trzebaż takiego nieszczęścia, żeby akurat w pierwszym dniu zwarjować.

— Ja mogę i bez herbaty sobie pójść — tłumaczył się Grześ.

— At, znowu! — burknęła Marcinowa — Słychane rzeczy — bez herbaty...

Ostatecznie trzeba było wypić herbatę. Pomimo tego i tak przed siódmą był w szkole. Jakież było jego zdziwienie, gdy rzuciwszy okiem na własnoręcznie wykaligrafowane wiszące w szatni ogłoszenie, znalazł na niem pełno dopisków, uwłaczających i ośmieszających jego i Piotrusia.

Była to oczywiście robota Julka.

Na korytarzach znalazł to samo. Pożdzierał więc wszystkie i gdy tak niósł je do szatni, spotkał się z Piotrusiem.

— Jak ci się to podoba? — zawołał, rozwijając przed nim pomięty arkusz.

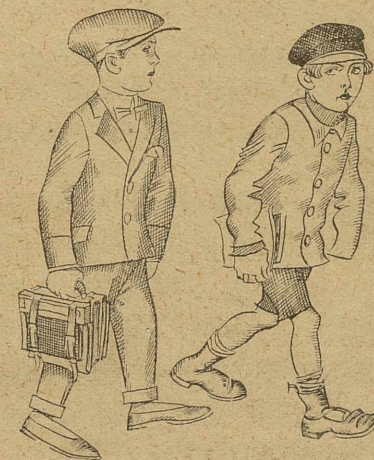
— To Julek.

— Oczywiście, że on.

Pobiegli do klasy i, zanim delegaci się zeszli, starannie na nowo przepisane zawiadomienia wisiały na korytarzach i w szatni.

Długo po lekcjach dnia tego i paru dni następnych pracowali chłopcy już to segregując, już rozdając zebrane od kolegów podręczniki. Obyło się bez sporów i nieporozumień.

Grześ z Piotrusiem przy tej okazji zaprzyjaźnili się z szóstoklasistą Bolkiem Wyrwą i ośmioklasistą Stachem Niniewskim i zdobyli nieprzejednanego wroga w osobie Julka Żarowicza.



Pozbawiony wszelkiej pomocy ze strony kolegów, biedny uczeń idzie do szkoły bez podręczników, patrząc z zazdrością na pełną teczkę zamożnego kolegi.

III

W bladzie słońcu w parkach i ogrodach majestatycznie dojrzewała kolorowa jesień polska. Srebrem pajęczyn osnawało babie lato czerwone georginje i białe astry, ostatnie kwiaty odchodzącego lata. Dni były coraz krótsze i cichsze, jakby wysłane dywanami i zawieszone ciężkimi kotarami.

W parku Ujazdowskim od rana do wieczora koło klombu bawiły się dzieci. Od rana też do wieczora słychać było ich śmiechy radosne i krótkie płacze — łzami nabrzmiałe i żalśnie zasmucone tragedje pajaców podartych i lalek stłuczonych, przeraźliwe i okropne. Dokoła w słońcu skakały piłki, toczyły się po drózkach zwirowanych i czasem ginęły w trawie pod smutnymi kępami jakichś kwiatów zasychających nieśmiertelnie w coraz bledszym słońcu.

Tamtędy właśnie nieraz przechodził Grześ z Piotrusiem. Czasem towarzyszył im Bolek Wyrwa, albo Stach Niniewski, to znów wszyscy razem szli tędy nad staw, albo na górkę za stawem w samym końcu parku. Tam spędzali na rozmowach, lub czytaniu krótkie popołudnia wrześnie i dopiero o zmierzchu rozchodzili się do domów odrabiać lekcje.

A był wówczas czas osobliwy jakiś i niespokojny. Zbliżał się ku końcowi pierwszy rok niepodległości Polski. Krwawiły się jeszcze szlaki wschodnie naszych ziem dalekich i milczące Jutro miało zakrytą twarz.

Była jakaś wielka tajemnica, której nie można jeszcze było odgadnąć.

Ta niepokojąca wszystkich tajemnica, to polskie Jutro z twarzą zakrytą, niepewne, były najczęściej tematem rozmów naszych chłopców podczas ich spacerów popołudniowych w parku. Błąkały się tam pytania trwożne i odpowiedzi pełne naiwnych niedomowień. I były jakieś horoskopy niezrównane, jakieś plany zmieniające mapy polityczne niemal całej Europy. W dysputach tych zatarły się zupełnie różnice wieku i klas.

Ośmioklasista Stach Niniewski i szóstoklasista Bolek Wyrwa znajdowali przyjemność w obcowaniu z Piotrusiem i Grzesiem, jakkolwiek ci byli dopiero w klasie piątej. I byli wszyscy sobie równi, jakkolwiek Piotruś był synem bogatego obywatela z Litwy, a ojciec Bolka Wyrwy zajmował stanowisko wybitne w ministerstwie spraw zagranicznych, wówczas, gdy Stach Niniewski, zostawszy sierotą bez środków do życia, już od klasy piątej szedł o własnych siłach, a Grześ był siostrzeńcem praczki i mieszkał w jej ubogim mieszkanku, które było jednocześnie pralnią.

Właśnie ów Grześ, mieszkający w pralni swojej ciotki, ów Grześ piątoklasista był głównym inicjatorem tych zebranych popołudniowych w parku Ujazdowskim. Snuły mu się po głowie różne plany reform życia szkolnego i nie dawała mu spać myśl wytworzenia jakiegoś współżycia, myśl, która zrodziła się w nim w dniu wymiany podręczników i z którą potem zwierzył się Bolkowi i Stachowi.

— Pamiętacie, jak to było z obroną Lwowa? — mówił — Każdy wówczas działał na własną rękę i w rezultacie nie zrobiliśmy nic. Temu rodzice nie pozwalali, ten znów nie chciał stracić roku. A jednak gdybyśmy wówczas stanowili jakąś zwartą całość, gdyby był jakiś nakaz i jakiś posłuch, byłoby zupełnie inaczej.

Wszyscy zgadzali się z wywodami Grzesia. Obrona Lwowa... Stach Niniewski był pod Lwowem i Wacek Dłusk i jeszcze kilku. Poza tem wszyscy pozostali w Warszawie...

— To prawda! — powtarzali, coraz bardziej zapalając się do planów Grzesia i debatując już tylko nad tem w jaką formę je przyoblec.

Piotruś proponował zorganizowanie drużyny skautowskiej, Bolek towarzystwa filaretów, Stach zaś utworzenie organizacji półwojskowej, która mogłaby być pogotowiem na wszelki wypadek.

— Wojna się jeszcze nie skończyła — mówił — musimy być przygotowani na wszystko. Po Lwowie przyjdzie Wilno, a potem kto wie może i Warszawa.

— Powiedział, co wiedział... — oburzył się Piotruś — Warszawa...

— Skoro mógł być Lwów, to może być i Warszawa — zaperzył się Staś.

— Mniejsza o to — przerwał naraz Grześ rozpoczętą dyskusję. — Myślałem o czem innem. Zdawało mi się, że należy coś zrobić takiego, o czem Mickiewicz mówi w Odzie do młodości: „Hej ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko!” Zdawało mi się, że powinniśmy się wziąć za ręce i wraz z nim krzyknąć: „Razem, młodzi przyjaciele!” Ale to „razem” musi być w jakiejś robocie, w jakiejś pracy. I dlatego jestem przeciwny tworzeniu organizacji wojskowej. Gdy potrafimy stanąć razem przy jakimś warsztacie, gdy potrafimy robić coś wspólnie, to i wówczas, gdy Ojczyzna będzie w potrzebie nikt nie będzie zmuszony oglądać się za nami.



Są między Wami tacy, którzy nie mogąc zapłacić wysokiego wpisu, zarabiają nań w wolnych od szkoły godzinach, w rozmaity sposób. Ci uczą się gorzej i często pozostają w jednej klasie dwa lata.

— To prawda! — zawołał Bolek.

— Prawda — powtórzył za nim Piotruś.

— A jednak jest jeszcze wojna i jeszcze trzeba wojować! — zawołał Stach. — Trudno stanąć przy warsztacie, kiedy kule gwiżdżą.

Bolek zamrugał oczami, Piotruś westchnął. Obaj spojrzeli na Stachę z zachwytem. Byli za młodzi na to, żeby wstąpić do wojska, a obu im śniła się wojenka.

Piotruś cofnął się myślą wstecz, przypomniał sobie, jak w styczniu żegnała szkoła Stachę, udającego się wraz z kilku jeszcze kolegami na front do Lwowa. I przypomniał sobie potem ich powrót do szkoły i wesołe, śmiejące się oczy Romka Niedzielskiego, który powrócił bez nogi, na kulach i nie zdawał jeszcze sobie sprawy z tego, że jest kaléką na całe życie i śmiał się i cieszył jednocześnie, jak dziecko.

Dziś Romek leży już w grobie — umarł w lipcu w Zakopanem. Powiadali, że miał suchoty.

Tu żal chwycił Piotrusia za gardło. Ten Romek nie miał nogi, na całe życie został pozbawiony nogi, a śmiał się i cieszył, jak dziecko.

Z za stawu z zalanego słońcem parku dolatywał rozgwar głosów dziecinnych radosny jakiś i zachwycony. Przez staw, cały od słońca złoty, płynął łabędź. Szyję miał majestatycznie wygiętą i rozstawione skrzydła.

Chłopcy siedzieli, milcząc. Udzieliła się im melancholja wrześniowego popołudnia, pełna ciszy przesłodkiej i milczenia.

I naraz odezwał się Piotruś:

— A jednak Julek na wojnę nie poszedł!

Powiedział to, jakby sam do siebie, jakby nawiązując rozmowę do swoich myśli, żał bowiem za Romkiem podsunął mu na myśl Julka, który bruździł im w klasie i dokuczał.

— Mógł przecie iść, bo jest w wieku Stacha... — dorzucił po chwili.

Wszyscy spojrzeli na Piotrusia ze zdziwieniem.

— Skąd on ci na myśl przyszedł? — zapytał Bolek.

— Czy nie masz innego zmartwienia? — zawołał Stach.

— Ja się wcale tem nie martwię — bronił się Piotruś — czemu jednak nie poszedł na wojnę?

— Nie chciał i nie poszedł... — powiedział po chwili Grześ. — I co za korzyść mieliby z niego na froncie? On taki dziwnie nieużyty i taki knąbrny. Czy pamiętacie jego zachowanie się podczas wymiany podręczników?

Piotruś wzruszył ramionami.

— On się nie nadaje do żadnej wspólnej pracy — zakonkludował Grześ.

Na to Stach aż podskoczył.

— Do wojska nadaje się każdy! — zawołał zaperzony. — Byle miał dwie nogi i dwie ręce, to już może być żołnierzem. I z niego byłby pyszny żołnierz.

— Widzicie, mógł być żołnierzem! — zawołał Piotruś.

— Daj mu już spokój! — zawołał Bolek. — Czego od niego chcesz. Lwów uratowali bez niego, a on i bez Lwowa rok stracił.

— To prawda.

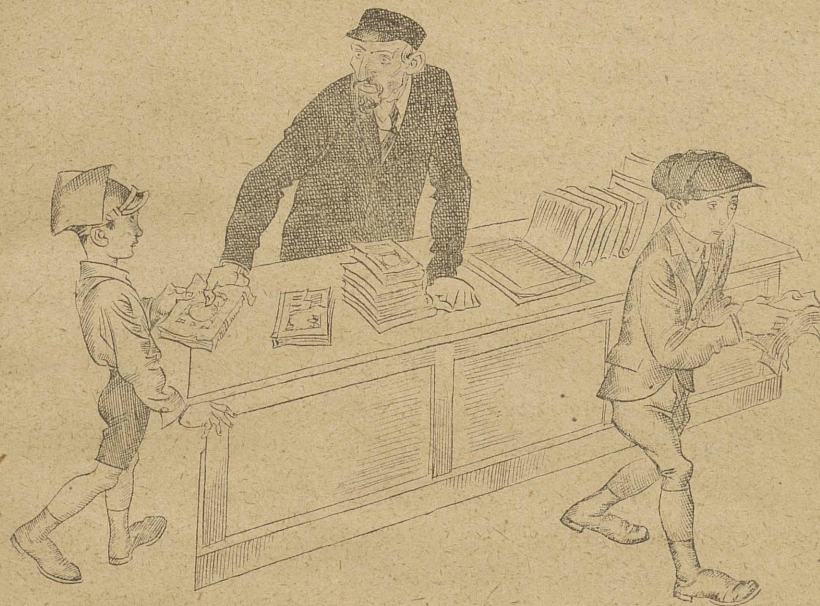
Chłopcy zaczęli się śmiać.

— A jednak — odezwał się po chwili Grześ — tak mnie korci wciągnąć Julka do jakiejś pracy i mam nadzieję, że mi się to uda.

— Szczęść, Boże! — zawołał, śmiejąc się, Bolek.

— Nie śmiejcie się przed czasem. Zobaczycie, że mi się to uda. Właśnie mam coś na myśli, coś, jak wówczas z podręcznikami.

— Ciekaw jestem co! — zawołał Piotruś.



Wiecie, co się dzieje na początku roku szkolnego, gdy trzeba kupować podręczniki. Koledzy z wyższych klas sprzedają książki za bezcen antykwariuszowi, aby ten w tejże chwili sprzedał je z dużym zyskiem koledze z klasy niższej.

— A więc słuchajcie! Byłem dziś w hurtowni kajetów i przyszedłem do przekonania, że moglibyśmy z łatwością dostarczyć kolegom tanich i dobrych kajetów.

— Znakomicie! — zawołał Stach.

Obsiedli Grzesia i ustawili uszu.

— Każdy z nas w najbliższym czasie — mówił Grześ w dalszym ciągu — będzie musiał kupić od dziesięciu do piętnastu kajetów. Jest to bardzo znaczna ilość, jeśli zważymy że jest ośm klas. Wielu z nas, nie znając dobrze sklepów, zaopatrzy się w towar, który będzie nie do użytku, papier bowiem mamy coraz gorszy i droższy. Dlatego też zaszedłem dziś do jednej z większych hurtowni polskich przy ulicy Żórawiej i przekonałem się, że za tańsze pieniądze możemy

mieć bardzo dobre kajety, biorąc bowiem tysiąc kajetów odrazu, otrzymamy 25% rabatu.

— Bój się Boga Grzesiu! — zawołał Bolek — skąd weźmiesz pieniędzy na tysiąc kajetów?

— Właśnie zdaje mi się, że to się da zrobić.

— Ciekawi jesteście jak? — wołali chłopcy.

— Bardzo prostym sposobem. Ogłosimy w klasach, że kto chce mieć tanie i dobre kajety, powinien w ciągu dwóch dni wpłacić za nie całkowitą należność z potrąceniem ma się rozumieć 25%. Takim sposobem zbierzemy pieniądze na kupno, a koledzy będą mieli o 25% tańsze kajety.

— To prawda! — zawołał Piotruś.

— A ja bym to inaczej przeprowadził — zawołał Stach. — Wszak przy tej sposobności moglibyśmy założyć sklep spółdzielczy, bo jeśli zbierzemy pieniądze na kupno dwóch tysięcy kajetów, sklep nasz odrazu posiadać będzie pięćset kajetów darmo, na których również zarobimy 25%, i takim sposobem bez wielkich wysiłków zdobędziemy towar do sklepu, który będzie wspólną własnością. Zdobywszy zaś towar, będziemy mogli dawać kupującym odpowiednie rabaty.

Chłopcom zaiskrzyły się oczy. Grześ aż podskoczył na ławce.

— Wspaniale! Wybornie! — zawołał. — Stworzymy sklep z niczego, będziemy mieli swój sklep. Choć jedną rzecz zrobimy razem!

I Bolek i Piotruś triumfowali. Ten ostatni z zachwytem patrzył na Stacha.

— Że też to mi odrazu nie przyszło do głowy! — biadał Grześ. — Taka prosta rzecz — odrazu pięćset kajetów za darmo.

— No przecież nie za darmo! — zawołał Piotruś.

— Tak, ale to jest właśnie to, o czym myślałem. Więc będziemy mieli w szkole nasz sklep. Znakomicie! Wybornie!

Zaraz jutro wciągnę do tej roboty Julka. Zobaczycie, jak potrafię go wykorzystać. Ogłosimy po wszystkich klasach, że otwieramy sklep spółdzielczy i że członkiem może być każdy, kto kupi minimum 10 kajetów po cenach sklepowych przy czem czwarta część pieniędzy wpłaconych stanowić będzie jego udział, na co otrzyma pokwitowanie. Czy tak?

— Oczywiście, że tak! Ale kto będzie skarbnikiem? — zawołał Stach.

— Może ty, jako najstarszy.

— O nie, wołałbym, żeby nim był Bolek.

— Więc dobrze, niech będzie Bolek.

Piotruś również był za tem, żeby Bolek był skarbnikiem. I Wyrwa nie protestował, chciał tylko, żeby pokwitowania podpisywali wszyscy czterej, jako założyciele. Oczywiście czynności te mieli pełnić tymczasowo, w najbliższym bowiem czasie zwołają zebranie udziałowców, które dopiero wyłoni z siebie zarząd właściwy.

Słońce już było nisko i koło klombu już się nie bawiły dzieci, kiedy dnia tego uradowani i szczęśliwi wracali do domów. Idąc, mówili o przyszłości swojego sklepu, o domniemanem powodzeniu i rozroście. W szkole, we wszystkich klasach A i B, jest prawie tysiąc uczniów. Całego tysiąca niema, ale prawie tysiąc. Wszyscy oni są członkami sklepu. W sklepie jest wszystko, co kupuje uczeń. Nawet książki. Na książkach zarabia się najwięcej... Ktoś mówił to Grzesiowi w zeszłym roku. To też na książkach będą dawali kupującym największy rabat.

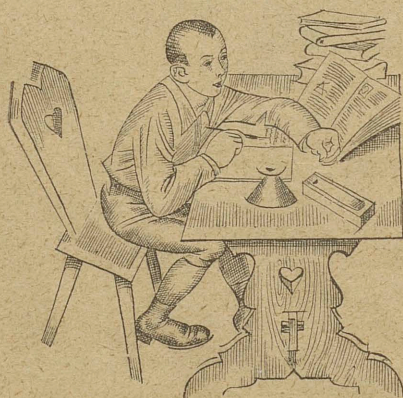
Do późna w nocy potem kaligrafował Grześ zawiadomienia o projektowaniu otwarcia sklepu spółdzielczego. Sklep ów miał się nazywać „Przyszłość“.

Nazajutrz przed rozpoczęciem lekcji zaszedł ze Stachem do gabinetu dyrektora wyjednać pozwolenie na wywieszenie ogłoszeń. Dyrektor, który miał żywo w pamięci przeprowa-

dzoną tak sprawnie przez Grzesia wymianę podręczników, pochwalił ich projekt.

— Z naszej strony — mówił — obiecuję wam jak najdalej idące poparcie, bylebyście rachunkowość prowadzili porządnie. W ręku rachmistrza najczęściej spoczywają losy takich kooperatyw.

Zaraz po wyjściu od dyrektora przed wywieszeniem ogłoszenia złapał Grześ na korytarzu Julka. Przewidując, że



Jedyną pociechą jest pilna praca.

będzie mu bruździł, chciał go wciągnąć na listę założycieli. Opowiedział mu więc o swoich planach i, jako starszego, prosił o wskazówki. Julkowi pochlebiło bardzo to zwrócenie się doń Grzesia. Obiecał pomoc swoją i dał kilka wskazówek praktycznych. Mówił o tem, jak należy prowadzić książki rachunkowe, gdzie kupować towar.

Skaptowawszy dla sprawy swojej Julka, Grześ porozwieszał w klasach i na korytarzach ogłoszenia i potem podczas pauz z Piotrusiem i Julkiem tłumaczył kolegom korzyści, jakie ciągnąć można z własnego sklepu.

Julek był wciąż przy nim, pisał wraz z nim i Piotrusiem pokwitowania, zachęcał innych do nabycia kajetów, a gdy się po ukończeniu lekcji rozstawali najniespodziewaniej w świecie oświadczył, że do spółki należeć nie będzie.

— Jakem rozważył, przyszedłem do przekonania, że mi się to nie opłaci.

— Jakto? Dlaczego? — pytał go Grześ.

— A choćby dlatego, że z tych groszów nic nie zbudujecie.

— Mylisz się, Julku, wspólnymi siłami dużo można zbudować.

— Niech tam! Nie będę należał.

— Nie, to nie!

Rozstali się chłodno, jakby z żalem do siebie.

— Co mu strzeliło do łba? — myślał Grześ, wracając do domu. Przez niego nie widział się z Bolkiem i nie wiedział ilu kolegów wpłaciło już pieniądze. W jego klasie 23 obiecało przynieść nazajutrz pieniądze. Wszyscy chcieli mieć dobre kajety i być udziałowcami sklepu. I Grześ czułby się zupełnie szczęśliwym, gdyby nie Julek, gdyby nie ta jego niczem nieusprawiedliwiona odmowa.

Po obiedzie, jak zwykle, poszedł do parku. W parku zastał tylko Piotrusia. Siedział na zalanej słońcem ławce i robił ołówkiem w notesie jakieś wyliczenia.

— Wiesz, że nasz sklep odrazu będzie miał dużo towaru! — zawołał, ujrawszy Grzesia.

— Z czego to wnosisz?

— Z tego, że Bolek ma już pieniędzy na 1.560 kajetów, a sklep 120 spółników. Cóż dopiero będzie jutro.

— Toś widział Bolka?

Razem z nim wracałem do domu.

— A mnie zatrzymał Julek. Prosił, żeby mu dać spokój, że z nami pracować nie będzie i że wogóle z tego nic nie będzie.

Na to nadszedł Bolek ze Stachem.

— Z czego nic nie będzie? — zapytali niemal jednocześnie.

— Oczywiście z naszego sklepu. Powtarzam tu zdanie Julka. Nie chce on z nami pracować, nie wierzy, żeby można było zbudować coś z niczego.

— A więc tak! — zawołał Stach.

— Jak zobaczy, to się przekona.

— O nie, on się nigdy nie przekona — zaprzeczył Bolek.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewny. Jest w nim dużo przekory zlej woli.

— A jednak dziś była chwila, że chciał pracować z nami. Pomagał mi wypisywać pokwitowania, zachęcał innych, żeby się zapisywali na listę członków.

— Musiał w tem coś mieć. Inaczej postępowania jego wytłumaczyć sobie nie umiem — zawołał Stach, który nie darzył Julka zbyt miłą miłością za jego nieszczerzy stosunek do sprawy lwowskiej.

— Ale dajmy już temu spokój — powiedział Grześ. — Przejdźmy lepiej do kwestji, która nas najbardziej obchodzi, t. j. do sprawy sklepu. Podobno mamy już pieniądze na kupno 1.560 kajetów.

— I stu dwudziestu członków prócz nas czterech — dorzucił Bolek.

Patrzyli na siebie z triumfem. Stu dwudziestu czterech członków od razu pierwszego dnia. Nie marzyli nawet o takim sukcesie.

Więc jęli snuć plany na przyszłość.

W końcu korytarza na pierwszym piętrze była w murze szafa, w której woźni zamykali swoje śniadania, kładli czapki i przechowywali szczotki i ścierki. Tę szafę postanowili nasi chłopcy zarekwirować na sklep. Ustawią przed nią długi stół, który stoi zupełnie niepotrzebnie w szatni, i przeprowadzą kontakt elektryczny. Grześ wykaligrafuje na kartonie czerwonym atramentem szyld, Bolek kupi kajet do rachunków, a w sobotę po lekcjach trzeba będzie zwołać zebranie ogólne członków, które dopiero wybierze zarząd właściwy.

Nazajutrz wszyscy czterej znaleźli się pod szkołą w chwili, gdy stary Antoni otwierał bramę.

— Ho! ho! czy to panowie nie za wcześnie! — zawołał wpuszczając ich do wnętrza.

— Już przecie otwarte... — powiedział Stach.

— Ano, ale pierwsze piętro jeszcze zamknięte, bo Franciszka jakoś nie widać.

— To poczekamy tu w szatni... — zawołał Grześ.

Niebawem nadszedł Franciszek i znalazł się klucz od pierwszego piętra.

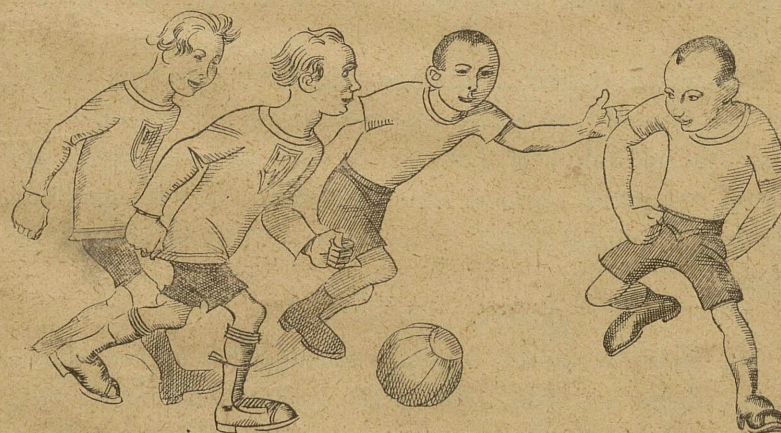
— Niech nam pan, panie Franciszku, powie czyja jest ta szafa w końcu korytarza? — zapytał go Grześ.

— A no, niby czyja ma być — odpowiedział Franciszek. — Szkolna ma się wiedzieć, a niby wedle czego ta wiadomość potrzebna.

— Bo my ją sobie zarekwirujemy, — powiedział Stach. Franciszek ręce rozstawił.

W szafie były tylko dwie szczotki i stare pantofle Franciszka.

— Ona już je zarekwirowana... — bronił się Franciszek, stając między nimi a szafą — i tera niema nijakiej rekwizycji.



A jednak czujecie sami, jak przyjemnie jest spędzić chwil kilka, wspólnie się bawiąc.

— Zobaczmy! — zawołał Stach wesoło.

Szafa była, jak wymarzona dla sklepu. Otwierała się na dwie strony szeroko, miała sześć półek i dwie szuflady na dole. W razie gdyby Franciszek bardzo się upierał, można mu będzie te dwie szuflady zostawić.

Ale chłopcy dnia tego mieli szczęście nielada, bo gdy tak stali przy szafie, medytując nad objęciem jej w posiadanie, na korytarzu zjawił się dyrektor.

Stanęli rzędem i ukłonili się z szacunkiem.

Zatrzymał się i uśmiechnął przyjaźnie.

— Czemuście przyszli tak wcześnie? — zapytał.

Grześ zrobił krok naprzód.

— Przyszliśmy, panie dyrektorze, obejrzyć tę szafę — wyrecytował jednym tchem. — Stoi prawie pusta, a gdyby pan dyrektor pozwolił, przydałaby się nam na sklep. Ustawilibyśmy przed nią ten długi stół z szatni, również niepotrzebny nikomu i mielibyśmy wspaniały sklep.

Dyrektor uśmiechnął się i długą białą ręką zaczął głaskać swoją siwiejącą już bródkę.

— Jeśli wam jest potrzebna, to ją sobie bierzcie — powiedział po krótkim namyśle. — Stół z szatni również możecie wziąć.

Zaszurgali nogami, kłaniając się grzecznie i za chwilę kroki ich dudniły na schodach, wiodących do szatni, a zanim się zaczęli schodzić uczniowie i profesorowie, długi stół z szatni stał przed szafą w końcu korytarza, a nad drzwiami szafy wysoko wisiał szyld, opiewający, że jest to sklep spółdzielczy:

„PRZYSZŁOŚĆ“

Ta szafa, w której leżały jeszcze pantofle Franciszka i stare, zdarte szczołki, była przez cały dzień niezrównaną atrakcją dla całej szkoły. Ona też niezawodnie sprawiła, że w dniu tym 420 uczni wniosło pieniądze na kupno 5040

kajetów i że Julkowi nie udało się wnieść zamętu do roboty Grzesia i jego kolegów. O tak, ta szafa, na którą nikt dotąd nie zwracał uwagi, przyczyniła się w znacznej mierze do rozbicia niegodnych zamiarów Julka i do jego zupełnej porażki.

Chłopak ten przyszedł w dniu tym ostatni i już po dzwonku wsunął się do klasy z jakąś paczką w ręku, którą ulokował pod ławką. Potem podczas pauzy, omijając skrzętnie Grzesia i Piotrusia szeptał po kątach z kolegami i zaglądał do innych klas. Ani Grześ, ani Piotruś nie mogli zrazu zrozumieć, co to wszystko znaczy i dopiero podczas dużej pauzy dowiedzieli się, że za pieniądze, wzięte od ojca na płacenie wpisu, zakupił był większą ilość bardzo lichych kajetów i teraz proponował kolegom nabycie ich po cenie o wiele niższej od tej, jaka miała być w „Przyszłości“. Okazało się jednak podczas dużej pauzy, że kajety jego są nie do użytku i niepoprawny przekorny Julek znikł, jak kamfora wraz z nimi zaraz po czwartej lekcji.

IV

Po południu padał deszcz i chłopcy w celu omówienia sprawy kupna kajetów i zainstalowania sklepu w szafie szkolnej, zebrał się w mieszkaniu Bolka Wyrwy w Alejach Jerozolimskich. Schludne to było i wytworne mieszkanie na pierwszym piętrze, pełne gracików bezużytecznych, półeczek, na których nic nie można było postawić, krzesełek niezdatnych do siedzenia i luster tak zawieszonych, że się w nich nie można było przejrzeć. Ale za to mieszkanie było od frontu i pod oknami szumiały drzewa, a na balkonie kwitły pelargonje.

Gdy się wszyscy zebrał i opowiedzieli sobie wszystko, co najgorszego wiedzieli o Julku — Bolek przystąpił do zdania kasy.

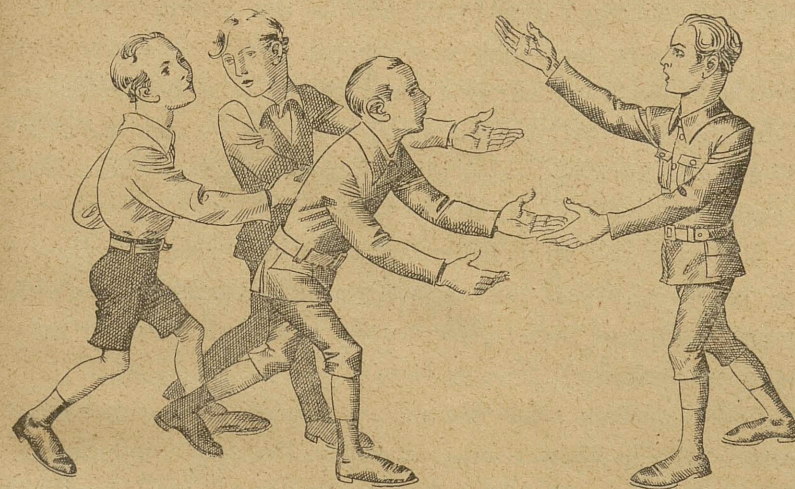
„Przyszłość“ miała 544 członków, z których 240 wniosło po 1½ udziału. Pieniądze leżały na stole i wszystko było w porządku.

Zapomnieli o Julku i o tem, że pada deszcz i że nie można iść na spacer do parku.

Rzeczywistość przewyższała ich najskrytsze marzenia. 544 członków!

Przedewszystkiem postanowili kupić kajety. Na szczęście deszcz przestał padać i na Żórawią było blisko.

— Możebyśmy odrazu przenieśli je do szkoły — proponował Grześ.



Wszelkiemu złu można zaradzić. Oto jeden z Was znalazł sposób i radę. Wezwał kolegów do czynu. Co najdzielniejsi spieszą na wezwanie do wspólnych poczyną.

— Przecie szkoła zamknięta — zauważył Piotruś

— To nic, Antoni nam otworzy.

Jakoż, gdy przynieśli pierwszy transport kajetów, niedługo kazał im czekać na siebie stary odźwierny Antoni.

— To widzę, że panowie tu we szkole całego Winiarskiego otwierają! — żartował, wpuszczając ich do środka.

— A co pan Antoni sobie myśli! — zawołał Stach. — Jak sklep, to sklep. Dziesięć Winiarskich tu pomieścimy i jednego Szustra.

— Ma się wiedzieć... — zgodził się dobrodusznie Antoni i, podzwaniając kluczami, otworzył drzwi na piętro.

Grześ został w szkole, a Stach z Bolkiem i Piotrusiem poszli po resztę kajetów na Żórawią. Zanim je przynieśli, oczyścił szafę i porozkładał na półkach kajety. I szafa naprawdę stała się podobna do sklepu. Bardzo ładnie wyglądały pomarańczowe okładki przy granatowych, obok których piętrzyły się stalowo-szare, poważne i spokojne. Te na dwóch

półkach środkowych były przeznaczone dla sklepu i było ich tysiąc. Za resztę pieniędzy postanowili kupić ołówków, piór i gumek. W hurtowni kajetów na Żórawiej dostali adres sklepu, do którego dziś jeszcze mieli się udać po zakupy. Miał to być sklep hurtowy, udzielający kupującym w większej ilości odpowiedniego rabatu.

Zaledwie zdążyli rozlokować w szafie resztę przyniesionych kajetów, zjawił się na korytarzu Franciszek. Zabrał, mruczając coś pod nosem, wyrzucone z szafy szczotki i buty i machnął ręką.

— Niech tam i tak będzie! — powiedział i, powłócząc nogami, oddalił się z urazą w duszy. Po chwili jednak powrócił z drabiną, nic nie mówiąc przystawił ją do szafy i, włazłszy aż pod sufit, wydobyl z kieszeni lampkę elektryczną.

Wkrótce mocne, białe światło zalało całą szafę.

— Pan dyrektor kazał aż tyle świeców przykręcić — powiedział, zniżając z drabiny. — A tu w szafie na lewo jest wyłącznik.

Otworzyli szeroko szafę i patrzyli na swój sklep z zachwytem. W szafie za drzwiami na lewo znalazł się wyłącznik.

— Nie gniewajcie się, panie Franciszku — powiedział Grześ. — Ta szafa i tak nie była wam bardzo potrzebna.

Ale Franciszek się nie gniewał. Przyniósł szczotkę, jedną z tych, które Grześ wyrzucił z szafy, i zamiótł dokoła.

— Gniewać się... — mruczał, zamiatając — to nie moja rzecz gniewać się... Od tego jest ciało pedagogiczne...

Kiedy podłoga już była zamieciona, zamknęli szafę i udali się po kupno ołówków, bibuły i gumek.

Na dworze świeciło słońce i nie było śladu deszczu, który padał przed chwilą.

Sklep, do którego według wskazówek otrzymanych na ulicy Żórawiej wstąpili, był obszerny i jakoś dziwnie nie-

chlujnie utrzymany. Widocznie wszystkie hurtownie są już takie.

Zastrzegli, że biorą dla sklepu i odrazu uzyskali odpowiedni rabat. Wybrali dwanaście tuzinów ołówków, dwa tuziny obsadek, dwanaście buteleczek atramentu, pięć tuzinów gumek z myszką, pięćdziesiąt arkuszy bibuły w różnych kolorach, trzy pudełka stalówek i pięć ołówków Penkala.

— To już galanterja. — powiedział Stach.

— Dla amatorów — dorzucił Piotruś.

— Przy tej okazji prócz pustych pudełek na ołówki i pióra dostali od kupca dla wywieszenia w sklepie dwie duże kolorowe głowy z potwornymi uszami, z poza których wyglądały owe ołówki Penkala, najlepsze w świecie i najbardziej precyzyjnie wykonane.

— Jakie to zabawne! — mówił Piotruś. — Powiesimy je na drzwiach szafy od środka. Upiększy nam to nasz sklep i nada mu pewien charakter handlowy.

Zakupione rzeczy zanieśli do mieszkania Bolka i tam pracowali do późna nad sporządzeniem listy członków, wniesieniem do książki rachunkowej wszystkich wpływów i wydatków i oceną nabytego towaru do detalicznej sprzedaży.

— Sklep nasz będzie się teraz z każdym dniem powiększał — powiedział w końcu Grześ. Czysty dochód obracać będziemy na kupno towaru, który w czasie najbliższym wypełni nam całą szafę. A potem otworzymy przy sklepie czytelnię i zaprenumerujemy kilka pism, a potem...

Nie wiedział jeszcze dobrze, co mogłoby nastąpić potem. Widząc to, Stach zapytał:

— I potem co?

— Potem możemy urządzić wycieczkę na Pomorze, albo do Zakopanego.

— A potem co? — nalegał Stach.

— Jakto co? Zobaczysz, że będziemy mogli zrobić bardzo dużo. „Hej, ramię dō ramienia! Spólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko“!

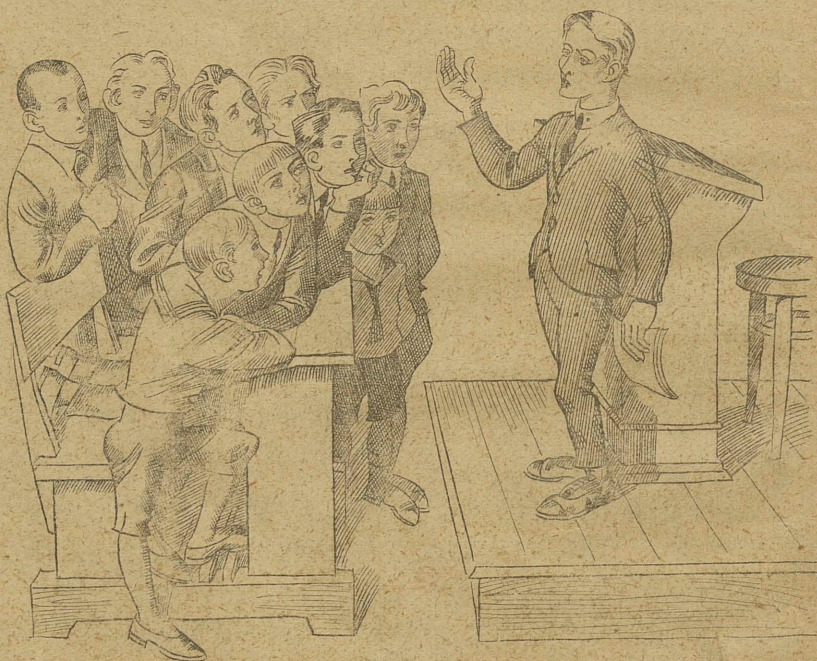
— O tak!—zawołał Piotruś.—Bardzo dużo będziemy mogli zrobić. Toż przecie mamy już własny sklep i to z niczego.

— To prawda że z niczego—powiedział Bolek.—Nikt przecie z nas nie dał na ten sklep ani grosza, tylko kupiliśmy kajety i nic więcej.

— Ale kupiliśmy wszyscy razem!—zawołał Grześ!

— Właśnie, że razem...—podkreślił Stach.

Byłoby to owo „razem“, o którym mówił Grześ, owo „razem“ z Ody do młodości, owo zespolenie sił—niezrównane, twórcze? Naraz z niczego powstaje coś tylko dzięki temu zespoleniu, temu „razem“...



Tutaj radzą wszyscy, oceniają projekt, krytykują, zgadzają się, przeczą lub potakują.

Stali wobec czegoś, czego nie rozumieli zupełnie jasno, co przejmowało ich zachwytem i radością.

Późno rozeszli się do domów i nazajutrz bardzo wczesnie zanieśli resztę zakupionego towaru do szkoły.

— Jeszcze publiki niema, a już sklep otwarty...—przywitał ich na progu Antoni.

— Dzieńdobry panu Antoniemu!

— Dzieńdobry!

— Dzieńdobry!

— Właśnie przychodzimy sklep uporządkować—zawołał Piotruś.

— Franciszek tam już wczoraj podmiótł—powiedział Antoni.

— Ale my porządek z towarem chcemy zrobić—tłumaczył Piotruś, biegnąc za kolegami na schody.

Jakoż zanim dyrektor zjawił się na korytarzu, sklep przedstawiał się imponująco. Na górnych i dolnych półkach piętrzyły się stosy kajetów w barwnych okładkach, na półce środkowej, najbardziej rzucającej się w oczy, w żółtych podłużnych pudełkach stały posegregowane podług numerów ołówki i mieniły się w małych otwartych pudełkach złote i srebrne stalówki, obok szeregu pękatek buteleczek z atramentem i płaskiego czerwonego pudełka z gumkami, nad którym wisiała wykaligrafowana przez Grzesia kartka: „Gumki z myszką—najlepsze“. Dalej leżały na białej podstawce żółte, czerwone i zielone obsadki i piętrzył się stos naciętej w kilku kolorach bibuły. Na drzwiach zaś szafy od strony wewnętrznej wisiały dwie kolorowe głowy z potwornymi, czerwonymi uszami, z poza których wyglądały precyzyjnie wykonane i najlepsze na świecie automatyczne ołówki Penkala. Ołówki te obok zwykłych leżały w małym pudełku na półce środkowej. A na stole, wykaligrafowany na długim pasku bristolu, leżał cennik towarów.

O tak, wszystko to wyglądało imponująco niezmiernie, tak imponująco, że sam pan dyrektor cały kwadrans przysglądał się rozłożonym na półkach towarom, przeczytał cały cennik od początku do końca i, chcąc zrobić początek, kupił jeden z ołówków Penkala.

Wówczas Stach, który był z nich wszystkich najśmielszy, zwrócił się do niego z prośbą o pozwolenie zwołania na jutro po lekcjach w szkole zebrania członków dla wyboru zarządu, któremu będą mogli złożyć rachunki i oddać sklep.

— Owszem możecie to zrobić, — powiedział dyrektor — musicie nawet to zrobić i na przyszłość możecie zawsze ze szkolnego lokalu korzystać.

Zaszurgali nogami, dziękując za pozwolenie.

Dyrektor stał jeszcze chwilę, przysglądając się przez swoje wypukłe szkła cennikowi leżącemu na stole, i, odchodząc, powiedział:

— Szczyć wam Boże, dzieci! Zaczę mieliście myśl, byle ją tylko dobry rezultat uwieńczył!

Po chwili zaczęli się schodzić uczniowie, biegli przez cały korytarz do otwartej szafy, głośno wyrażali swoje zdziwienie i zachwyt i, okazując pokwitowania, zabierali należne im kajety. Przy tej okazji kupowali ołówki, pióra i gumki tak, że już przed rozpoczęciem lekcji większa część towaru została sprzedana. Przybyło również kilku członków, którzy od razu brali po dziesięć, lub piętnaście kajetów.

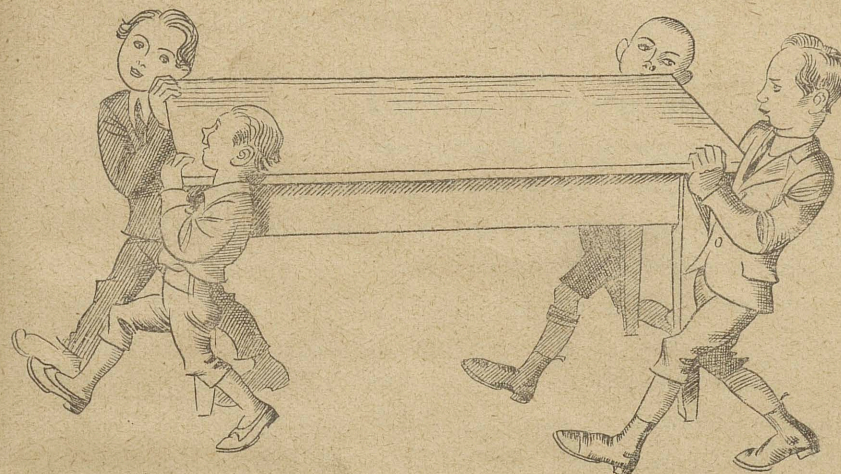
Najmłodsi z pierwszej klasy, o których starsi mówili, że są jeszcze „domowymi chłopakami“, podchodzili do otwartej szafy nieśmiało, przysglądali się kolorowym okładkom kajetów i powtarzali z zachwytem:

— To jest nasz sklep!

A potem dodawali nieśmiało:

— Mnie proszę w zielonej okładce dziesięć kajetów.

— A dlaczego w zielonej? — pytał Grześ.



Zaczyna się wspólna praca. Wszyscy się krzątają i pomagają sobie po koleżeńsku.

Wówczas taki domowy chłopak zamyślał się, a nie wiedząc sam dlaczego, najczęściej odpowiadał:

— Bo tak... w zielonej...

I wydobywał starannie w matrykule złożone pokwitowanie i podawał je Piotrusiowi dla odnotowania ilości wziętych kajetów.

Ci najmłodsi, ci „domowi jeszcze chłopacy“ byli najlepszymi odbiorcami. Oni to właśnie podczas dużej pauzy wykupili prawie wszystkie ołówki i gumki i w liczbie kilkunastu zapisali się na członków sklepu, biorąc od razu odpowiednią ilość kajetów.

Julka i dnia tego nie było w szkole i Grześ się martwił, że nie może mu zaimponować powodzeniem sklepu.

Podczas dużej pauzy Piotruś z Bolkiem powywieszali we wszystkich klasach i na korytarzach ogłoszenie o mającym się nazajutrz po czwartej lekcji odbyć walnem zebraniu członków w celu wybrania zarządu. Po obiedzie zaś zebrali się u Grzesia i od niego poszli po zakup towaru, a głównie ołówków i stałówek i do hurtowni kajetów na Żórawią po

bruljony, których dotąd wcale nie mieli, a o które wciąż ich zapytywano.

Zrobiwszy zakupy i odniósłszy je do szkoły, udali się na górkę do parku. Było ciepłe słoneczne popołudnie. Po zalanym słońcem stawie pływały łabędzie, koło klombu bawiły się dzieci. Ich jaskrawe kolorowe ubranka wyglądały zdaleka, jak jakieś poruszające się żywe kwiaty.

Usiedli na ławce, jak ludzie, którzy chcą po ciężkiej pracy wypocząć.

— Jednak ten cały sklep zabiera nam trochę za dużo czasu, — odezwał się pierwszy Stach, ocierając pot z czoła, — trzeci już dzień z rzędu nie odrabiam lekcji.

— I ja także! — zawołał Grześ.

— I ja! — powiedział Piotruś.

— To wszystko jutro już się skończy — odezwał się Bolek — wybierzemy nowy zarząd, który podzieli między siebie czynności w ten sposób, że nikt się nie będzie zapracowywał i zaniedbywał lekcji dla sklepu.

— A ilu członków będzie w zarządzie? — zapytał Piotruś.

— Przypuszczam, że wystarczy po jednym z każdej klasy, przyczem klasy podwójne, t. j. A i B, uważać należy za jedną klasę — powiedział Stach.

— Takim sposobem byłoby ośmiu członków — zauważył Grześ.

— Tak jest, ośmiu.

— Podług mnie lepiej jest, gdy ilość jest nieparzysta — zauważył znowu Grześ.

— To prawda! — zgodził się Stach. — Zwykle ilość członków w zarządach bywa nieparzysta. Więc może zrobimy tak, że każda klasa wybierze od siebie jednego przedstawiciela, a pozatem wszyscy razem wybiorą jednego i ten właśnie będzie dziewiątym. Taki jeden, cieszący się zaufaniem ogółu, będzie bardzo dodatnim w naszym zrzeszeniu czynnikiem.

— Świetna myśl! — zawołał Bolek.

— Ty masz doskonałe pomysły — powiedział Grześ. — Teraz już widzę wyraźnie cały nasz sklep. Wszyscy będą zainteresowani. Taki przedstawiciel klasy będzie co miesiąc zdawał sprawozdanie swoim wyborcom z działalności sklepu i będzie utrzymywał wszystkich w stałym kontakcie z zrzeszeniem.

— Tak! Tak! — powtórzył Piotruś — to świetna myśl.

— Musimy jednak pomówić dziś o jutrzejszym zebraniu — zauważył Bolek.

— I ja myślałem o tem — zawołał Grześ. — Musimy się przecie naradzić nad tem kto zagai zebranie i kto je prowadzi będzie.

— Oczywiście powinien to zrobić Stach, jako najstarszy — powiedział Piotruś.

— To jeszcze nie jest przyczyna, że jestem najstarszy — zaprotestował Stach.

— Ty jesteś najstarszy i mówisz najlepiej — powiedział Bolek.

— Tak, ty to powinieneś zrobić — dodał Grześ.

— Jak uważacie, że ja, to dobrze. Tylko nie wiem, czy potrafię — powiedział Stach.

— Potrafisz... potrafisz — zawołali chórem.

— Więc sądzę, że zrobimy tak — odezwał się po chwili Stach — zaraz po lekcjach zbierzemy się wszyscy w klasie drugiej A, która jest największa. Ja zagaję zebranie i proponuję, żeby się wszyscy rozeszli po klasach dla wyboru delegatów. Potem zbierzemy się znowu w klasie drugiej i wybierzemy ogólnego przedstawiciela. I niech już potem ten zarząd wybrany myśli sam o sklepie.

— Dziś mamy już 568-miu członków — powiedział Piotruś.

— A uczni w szkole jest 703 — zawołał Grześ.

— Więc jeszcze 135 dotąd się nie zapisało — obliczył Piotruś.

— A właśnie — zawołał Stach — tym, co nie zapisali się z racji braku pieniędzy musimy pozwolić zapisać się na raty t. j. z chwilą kupienia dziesiątego kajetu każdy z nich stanie się członkiem stowarzyszenia. Sądzę, że takich będzie wielu i że Julek wraz ze swymi naśladowcami bardzo prędko

skapituluje.

Wszyscy dzielali zapatrywanie Stacha. Przyjdzie dzień, kiedy Julek skapituluje i zapisze się do stowarzyszenia. Co poczynie on jednak z wpisem, wszakże 15 października jest ostatni termin wniesienia opłaty, a przecież pieniądze wydał na kajety.

Było jeszcze dość wcześnie i Stach proponował dalszy spacer.

— Pójdziemy za rogatkę mokońską w pole — mówił, mierząc oczami



Umiejętny podział pracy czyni ją miłą. Oto jeden z was pełni obowiązki rachmistrza.

mi wysokość słońca — już cały miesiąc nie byliśmy na wsi.

— Dobrze... dobrze... — zawołali chórem.

Słodka cisza jesiennego popołudnia dymiała się pyłem słonecznym za rogatką w pustym polu. Długie, srebrne nitki pajęczyn snuły się na rżyskach. Gdzieś wdali nisko majaczyły zupełnie niebieskie lasy i białe plamy dworów i ciemniejsze nieco plamki pojedynczych drzew na miedzach między polami.

Piotrusiowi błyszczały oczy z radości. Ten cichy pejzaż przypominał mu jego daleką wieś, gdzieś na Litwie. Tak samo tu było cicho i pusto. To samo działo się z Bolkiem i Stachem. I oni kiedyś w dzieciństwie mieszkali na wsi i im się teraz przypominały te dalekie ciche kąty, leżące gdzieś za lasami i rzekami.

Tylko Grzesia nic nie łączyło ze wsią, tylko on jeden nie odnalazł w tym pejzażu siebie. Małe, ciasne mieszkanko na Ostatnim Groszu w Częstochowie i mroczna i wilgotna pralnia ciotki w Warszawie.

Pozatem szkoła, którą właśnie może jedynie dlatego tak kochał.

W dali za nimi leżało zadymione miasto, pełne ludzi i gwaru, pełne żelaznych turkotów i nieprzyjemnych hałasów. Wielki warsztat pracy — całe dzieciństwo Grzesia.

Szli, nie oglądając się za siebie, i dopiero zniżające się coraz prędzej słońce zmusiło ich do powrotu.

Na ulicach już paliły się latarnie, gdy się żegnali na rogu Alei Ujazdowskiej i Pięknej.

Nazajutrz przed lekcjami i podczas dużej pauzy przybyło jeszcze dwunastu członków.

Było już po drugim dzwonku, kiedy do klasy wsunął się Julek. Udawał, że nie widzi Grzesia, który siedział dość blisko od niego.

— Julku! — zaczepił go Grześ podczas dużej pauzy na korytarzu.

Zatrzymał się, ale miał minę, jakby chciał uciec.

— Teraz chyba sam widzisz, że nie miałeś racji — powiedział Grześ.]

Julek milczał. On sam najlepiej wiedział czy miał rację i co to Grzesia może obchodzić. Jest to jego sprawa zupełnie osobista.

Ale Grześ był innego zdania.

— Czy ty się, Julku, na mnie gniewasz? a jeśli się gniewasz, to za co? — pytał w dalszym ciągu, patrząc mu w oczy.

— Wcale się nie gniewam! — burknął Julek.

— A więc, czemu nie chcesz mi odpowiedzieć?

— Bo jestem innego zdania, niż ty.

— Tak! — zdziwił się Grześ. — Bo może ty tak mówisz dlatego, że nie masz pieniędzy i nie chcesz się do tego przyznać. Jeśli tak jest, to ja ci pożyczę.

Ceglasto-czerwony rumieniec zalał twarz Julka.

— Daj mi spokój! — krzyknął i wykręcił się na pięcie.

Dopiero wówczas zrozumiał Grześ, że odtąd ma w nim zaciętego wroga. Chciał jeszcze iść za nim, chciał się przed nim tłumaczyć, ale Julek zginął mu gdzieś w tłumie i po lekcjach tak prędko opuścił szkołę, że już go nie mógł złapać.

Zresztą, prawdę mówiąc, miał wówczas Grześ co innego na głowie. Musiał zajrzeć do sklepu, w którym Bolek załatwiał ostateczne czynności, i wraz z nim udać się na zebranie. Jakoż w sklepie zastał Bolka, wpisującego ostatnie wpływy do książki i Piotrusia, ostentacyjnie zamykającego szafę.

— Już mamy 580 członków! — ujrawszy go, zawołał Bolek.

— Wszystkie ołówki Penkala sprzedane... — zakomunikował Piotruś.

— I wszystkie bruljony — dodał Bolek.

— To dużo... bardzo dużo... powiedział Grześ, obliczając w myśli oszczędności i idąc z Bolkiem i Piotrusiem na zebranie.

Kiedy przyszli, w klasie huczało, jak w ulu. Ci, co się nie zmieścili w sali, stali na korytarzu, ich jednak przepuścili do środka.

Pochlebiło to Grzesiowi niezmiernie.

Na katedrze stał Stach. Ujrawszy ich wchodzących do klasy, uderzył ręką po stole i zawołał:

— Zaczynamy!

Wszyscy umilkli, tylko z korytarza przez chwilę jeszcze dochodził głuchy szmer, ale i ten wkrótce zaniemiał.

A kiedy cisza zaległa zupełna, Stach zaczął mówić:

— Koledzy! Mógłbym przemówienie dzisiejsze zacząć słowami z „Ody do młodości“, mógłbym zawołać za Mickiewiczem: „Razem, młodzi przyjaciele!“. Dziś bowiem przekonacie się sami z tego, co wam tu opowiem, co znaczy ten wyraz „razem“, czym jest zespolenie sił i czego dokonać można wspólnymi siłami. Tajemnica tworzenia się tej potęgi tkwi w samym zrzeszeniu ludzi. Są kamienie, których człowiek pojedynczy udźwignąć nie może, a które dwóch albo trzech ludzi podniesie z łatwością. Każdy z nas musiał kupić kajety na mieście i dać zarobić pośrednikowi. Aleśmy zrobili inaczej. Kupiliśmy kajety wszyscy razem i zapłaciliśmy tylko tyle, ile zapłacilibyśmy na mieście, to zaś, co na każdym z osobna zarobiłby pośrednik, przeznaczyliśmy na kupno towaru do sklepu. I stała się rzecz niezwykajna. Kupując kajety na mieście, nie mielibyśmy nic, prócz kajetów, kupiwszy zaś je razem, mamy swój sklep i wcale okazałą ilość towaru i nikomu nie jesteśmy winni ani grosza. Co więcej wam powiem, koledzy! Wpływ z dnia dzisiejszego jest tak znaczny, że już jutro towaru w sklepie będziemy mieli dwa razy tyle. A gdy się szafa nasza naszym towarem wypełni po



Ci dwaj z zapaktem biegają po mieście, czyniąc zakupy.

brzezi, otworzymy przy sklepie czytelnię, zaprenumerujemy kilka pism, założymy księgarnię, albo co innego.

Przerwały mu naraz rześiste brawa.

— Niech żyje „Przyszłość“! — wołali zebrani.

— Niech żyje! — krzyczeli z korytarza.

A gdy się uciszyli, ozwał się znowu głos Stacha z katedry:

— Sklep ten, który pozwoliliśmy sobie nazwać „Przyszłością“, nie jest własnością żadnego z nas, lecz wszystkich razem i rządzić nim powinniśmy wszyscy razem. Dlatego też musimy dziś wybrać zarząd. Niech każda klasa, przyczem klasy A i B liczymy za jedną klasę, wybierze swego przedstawiciela, a potem dziewiątego wybierzemy wszyscy razem. Z tych dziewięciu członków zarządu każdy raz na tydzień przed lekcjami i podczas pauz będzie dyżurował w sklepie, a pozostali trzej będą zaopatrywali sklep w nowe towary. Czy zgoda?

— Zgoda! Zgoda! — ozwało się ze wszystkich stron i w klasie i na korytarzu.

— A więc do dzieła! — zawołał Stach.

Z wielkim hałasem rozbiegli się wszyscy po swoich klasach i już po kilku minutach zaczęli powracać. Zgóry już wiedzieli, kto będzie w klasie najlepszym przedstawicielem. Tylko klasa piąta najdłużej nie mogła się zdecydować. Nie wiedzieli, czy ma być Grześ, czy Piotruś i dopiero na usilne prośby Piotrusia wybrali Grzesia.

A gdy się wszyscy zebrali, znowu znalazł się Stach na katedrze:

— Pozwólcie, koledzy, że wam odczytam rezultat wyborów. Z klasy pierwszej — kolega Stefan Kotarski, z drugiej — kolega Jan Szrejber, z trzeciej — kolega Ryszard Rembowski, z czwartej — kolega Stefan Ludwicki, z piątej — kolega Grzegorz Migaj, z szóstej — kolega Bolesław Wyrwa, z siódmej — kolega Leon Zaguba i z ósmej — ja.

Niemilknące długo brawa zagłuszyły jego dalsze słowa

— Niech żyje zarząd! — wołali ze wszystkich stron.

— To jeszcze nie jest zarząd! — krzyczał Stach. — Dotąd wybraliśmy tylko ośmiu. Musimy teraz przystąpić do wyboru dziewiątego członka zarządu.

Wówczas podniósł do góry rękę Tadzio Żarski z piątej klasy i zawołał:

— Na dziewiątego proponuję Piotrusia Chwaliboga, który tyle zasług położył przy powstaniu naszego sklepu.

— Niech żyje kolega Piotruś Chwalibóg! — krzyknęli naraz wszyscy.

Wówczas znowu Stach z katedry zabrał głos:

— W imieniu wszystkich wybranych i swoim dziękuję walnemu zebraniu za zaszczyt, jaki nas spotkał — i, jako przewodniczący, zamykam zebranie.

Znowu ozwały się brawa i zrobił się hałas na sali. Wszyscy zaczęli tłoczyć się do wyjścia, śmiejąc się i rozmawiając głośno.

— Będziemy mieli swoją czytelnię! — wołał ktoś w tłumie.

— I księgarnię! — krzyczał ktoś z korytarza.

— A jak dobrze pójdzie, to i własną burzę niedaleko od szkoły — powiedział ktoś, stojący tuż przy Stachu.

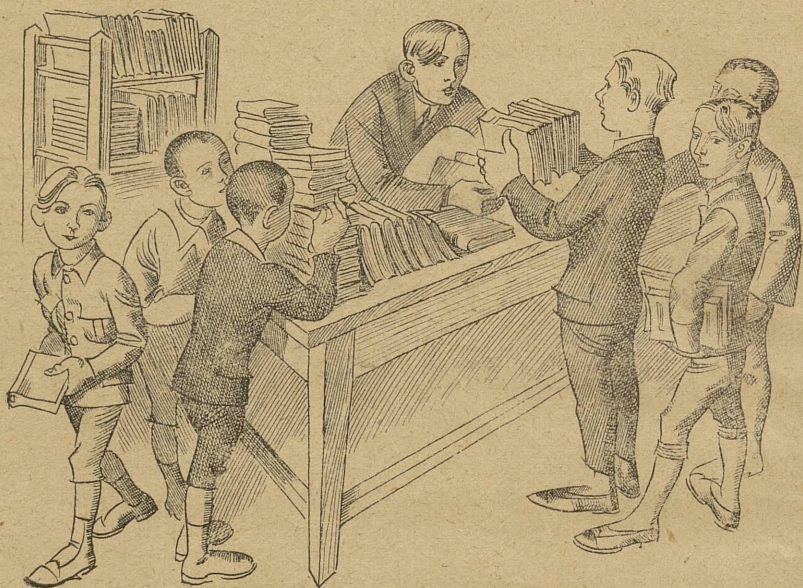
Wkrótce w klasie pozostali tylko wybrani do zarządu.

Najmłodszy z nich Stefanek Kotarski stał na środku sali z zadartą do góry głową. Był dumny, że go wybrano, więc przybrał pozę bohaterską i patrzył na wszystkich z góry. Przecie nikt z nich już w klasie pierwszej nie doczekał się tego zaszczytu... tylko on jeden...

Stach jednak nie dał mu zbyt długo napawać się swoją wielkością.

— Może teraz kolega Kotarski usiądzie i spíše protokół — powiedział, podając mu arkusz papieru i pióro.

A widząc jego zakłopotanie, dodał:



Zorganizowano wymianę podręczników. Nikt na tem nic nie traci i nikt nie ciągnie wielkich zysków. Waszym kosztem.

— Ja podyktuję.

Z wypiekami na twarzy zabrał się Stefanek do pisania pod dyktando. To samo dzisaj robił w klasie na lekcji w kancie kupionym w sklepie, którego był współwłaścicielem. A tak niedawno jeszcze starsi koledzy nazywali go chłopakiem domowym.

Po napisaniu protokołu umówili się spotkać nazajutrz, jakkolwiek była to niedziela, u Bolka Wyrwy o godzinie trzeciej.

Grześ, wracając do domu, spotkał na Nowym-Świecie Julka. Wydało mu się nawet, że czekał na niego, bo przyglądał się wywieszonym za szybą fotografjom; gdy go zobaczył, zrobił kilka kroków w jego stronę, a gdy z nim się zrównał, niemile podniesionym głosem krzyknął:

— Ty mi się z pożyczką nie ofiaruj, a powiedz lepiej ciotce, żeby po bieliznę do mnie przyszła. Mieszkam na Tamce pod 42.

To rzekłszy zawrócił i szybko się oddalił.

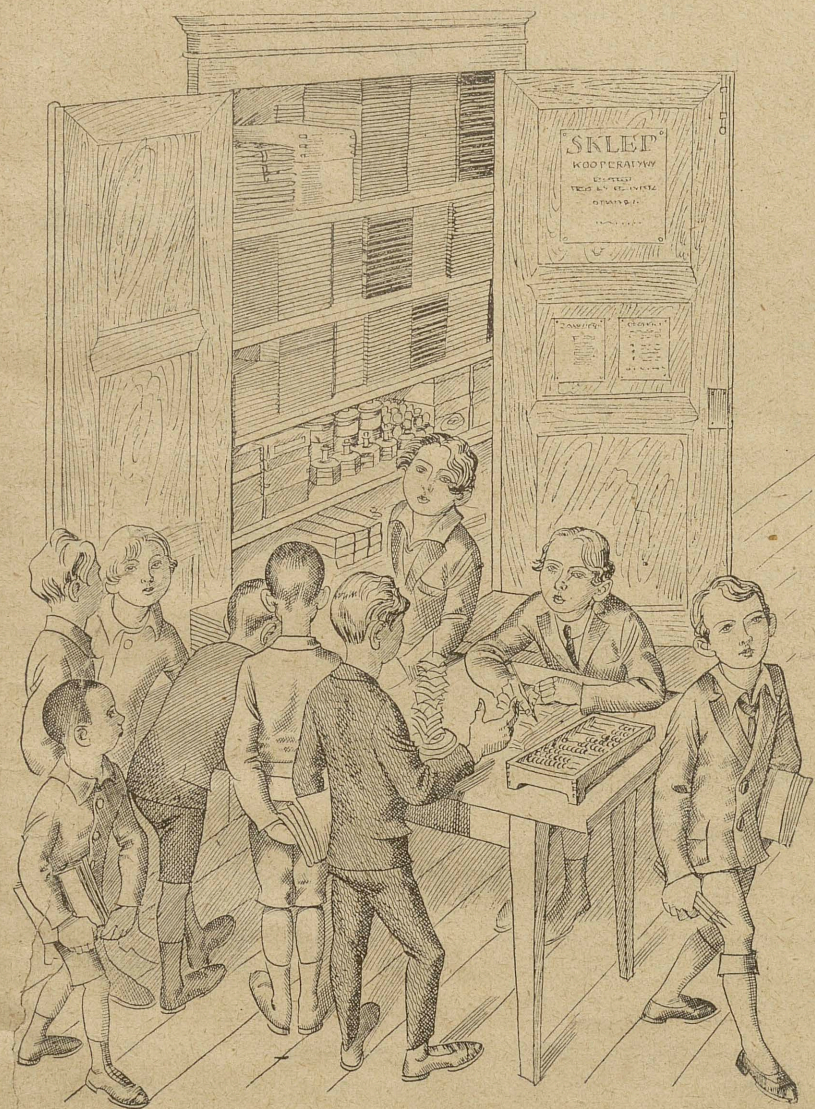
Grześ stał blady, jak płótno, a dwie łzy spłynęły mu po twarzy.

V

Od dnia tego upłynęło dwa i pół miesiąca. Dwa i pół miesiąca jest to wogóle bardzo długi przeciąg czasu, a coś dopiero, jeśli powiem, że były to najdłuższe w roku miesiące jesienne. Coprawda w roku tym jesień prawdziwa, jesień szara i słotna, zaczęła się dopiero w połowie listopada, temniemniej jednak nikt nie zaprzeczy, że w połowie grudnia kończy się w szkole pierwsze półrocze i że te dwa i pół miesiące można już choćby przez to samo uważać za pół roku.

W tym roku w samej rzeczy jesień była niezwykła. Najstarsi ludzie utrzymywali, że takiej ciepłej jesieni nie pamiętają i straszili wszystkich, jak to zwykle czynią starzy, którzy lubią straszyć przepowiedniami, że w tym roku oczekiwać należy różnych epidemij śmiertelnych i zaraźliwych. Ale i tym razem, jak zwykle, przepowiednie ich nie ziściły się, bo ledwie zaczęły się chłodne szarugi i mokre słoty, przyszła biała zima i okryła skostniałą od mrozu ziemię swoim miękkim, białym futrem.

A przez cały ten czas, czy to była pogoda, czy padał deszcz, czy biały śnieg słał się miękkimi płatami po ziemi, „Przyszłość” rozwijała się znakomicie. Powodzenie jej prze-



Oto wyrósł Wasz sklep dzięki Waszym wspólnym wysiłkom.

szło wszelkie różowe zapatrywania Stacha, przerosło wszystkie nieprawdopodobne i fantastyczne horoskopy, które jej w uniesieniu budował Grześ.

Dało się to zauważyć już od pierwszych tygodni jej istnienia i trwało aż do końca. Było to zupełnie niezwykle i nieoczekiwane powodzenie.

Kto nie widział „Przyszłości“ przez całe te dwa i pół miesiące, ten napewno nie poznałby jej w połowie grudnia.

Już sam zewnętrzny wygląd sklepu mówił za siebie. Wewnętrzna strona drzwi tej dużej szafy była teraz literalnie cała zawieszona kolorowymi anonsami różnych firm fabrycznych, odbitkami medalów otrzymanych na różnych wystawach, których nigdy nie było, i napisami, niezgodnymi z prawdą. Jednym słowem było tam wszystko, czem się posługuje handel i co chłopcy zawieszali w celu nadania tej ściennej szafie w szkole wyglądu bardziej handlowego.

Za to wewnątrz tej szafy wszystkie półki od góry do dołu były wprost zapchane towarami naprawdę najprzedniejszym, który nie jaskrawymi nieprawdziwymi anonsami, ale jakością sam mówił za siebie. Leżały tam całe stosy kaje-tów w najlepszym gatunku, bruljonów oprawnych w prawdziwą ceratę, notesów i kalendarzyków. A obok tego stały duże pudła pełne ołówków, podstawki z kolorowymi obsadkami, z ołówkami Penkala i z piórami wiecznymi.

Wszystko to stanowiło już dość znaczny majątek, nie obciążony żadnymi długami.

Już w początkach listopada przyszedł ten czas, kiedy należało pomyśleć o innej lokacie dla oszczędności, które dawał sklep.

Wówczas to zarząd po długich naradach postanowił otworzyć czytelnię i zaprenumerować kilka pism.

Była w szkole na pierwszym piętrze dawna klasa śpiewu, dziś na dwa spusty zamknięta, lekcje śpiewu bowiem odbywały się w obszernej sali na drugim piętrze. W tej właśnie klasie śpiewu, w której teraz pośrodku stał tylko duży stół, a pod ścianami długie i niebardzo wygodne ławki, postanowił zarząd „Przyszłości“ ulokować czytelnię. Stach z Grzesiem chodzili w tej sprawie do dyrektora i z łatwością uzyskali pozwolenie.

— Każę tam monterowi zawiesić lampę pośrodku i będziecie mieli swój własny pokój w szkole — powiedział im wówczas dyrektor.

I odtąd mieli swój własny pokój, swój klub, w którym na dużym stole pośrodku obok „Tygodnika Ilustrowanego“ leżało „Moje pisemko“ i „Harcerz“ i nawet litografowana „Gęś“, organ małego kółka starszych harcerzy, pisemko bardzo niezwykle i niespotykane nigdzie.

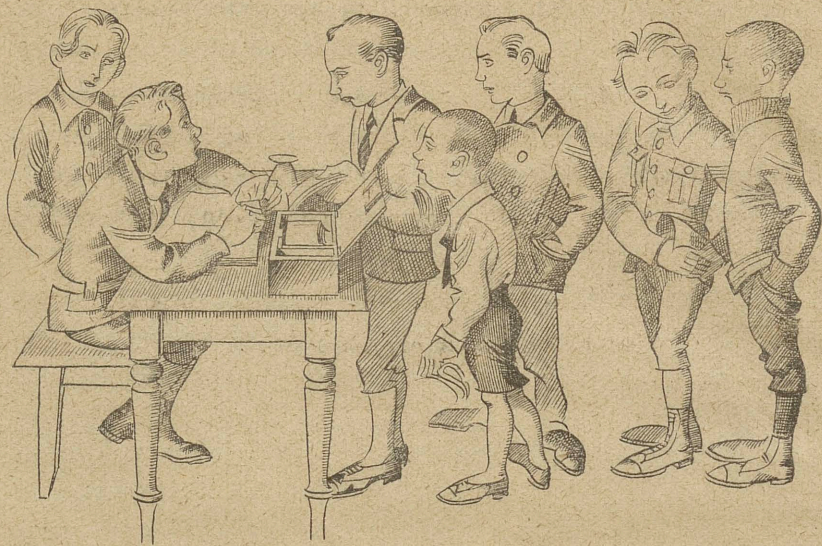
Wszystko to było nabyte za własne pieniądze stowarzyszenia i bez żadnych ustępstw

Ku utrapieniu starego odźwiernego szkoły, Antoniego czytelnia na wyraźny rozkaz dyrektora była otwarta codziennie od czwartej do szóstej.

Pyszniła się nią cała szkoła, wszyscy bowiem uczniowie, prócz Julka, byli członkami „Przyszłości“ i wszyscy, prócz niego, korzystali z czytelnii.

Tylko on jeden trzymał się nauboczu, tylko on jeden zajmował wobec „Przyszłości“ nieprzyjazne stanowisko, z Grzesiem zaś, od owego pamiętnego spotkania na Nowym Świecie, nie komunikował się wcale.

Nikt nie wiedział, co było przyczyną tej niechęci i nikt go o to nie pytał. Wiedzieli jednak, że wpisu we właściwym czasie nie wpłacił, byli świadkami, jak wyjednywał odroczenie i słyszeli zapowiedź, że jeśli w końcu tego półroczu nie wpłaci, jako drugoroczny, zostanie usunięty ze szkoły.



Widząc dobre rezultaty, śpieszą ci najopieszalsi, aby przystąpić do Waszej pracy. Oto chętnie płacą udziały, zapisują się na członków.

W czytelnicy też wieczorami nieraz mówiono o nim, jako o kimś, który już ubył z ich grona, na dobitkę bowiem wszystkiego Julek i w tym roku uczył się źle i dużo lekcji pod pozorem choroby opuszczał.

Grześ nie czuł do niego urazy, tylko z nikim nigdy już nie mówił o nim. Po owym spotkaniu na Nowym Świecie przestał dla niego egzystować ten niedobry i przekorny Julek, ten słoń niezgrabny, jak go nazywano w szkole.

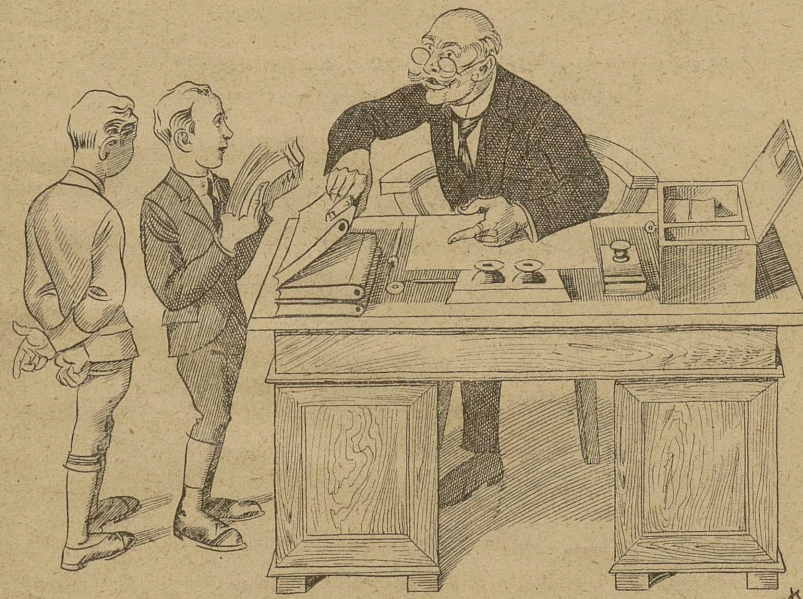
Tak przeszła jesień i niewspodziewanie wcześniej przyszła zasypana wielkimi śniegami, cicha i pogodna biała zima.

Fundusze „Przyszłości” zwiększały się z dniem każdym Stach, który był przewodniczącym zarządu w początkach grudnia uznał za stosowne zwołać walne zebranie dla wy-

boru nowego zarządu i omówienia spraw finansowych stowarzyszenia.

Jakoż udało mu się wyjednać u dyrektora pozwolenie na dwunasty grudnia. Była to sobota i zebranie miało się odbyć o czwartej, przyczem mogło się przeciągnąć do późna. Sam dyrektor wydał Antoniemu rozporządzenie potwierdzenia wszystkich klas i pozapalania lamp.

Cale dwie godziny dnia tego Stach z Bolkiem i Grześiem przesiadzieli nad spisem towarów w sklepie i potem nad rachunkami.

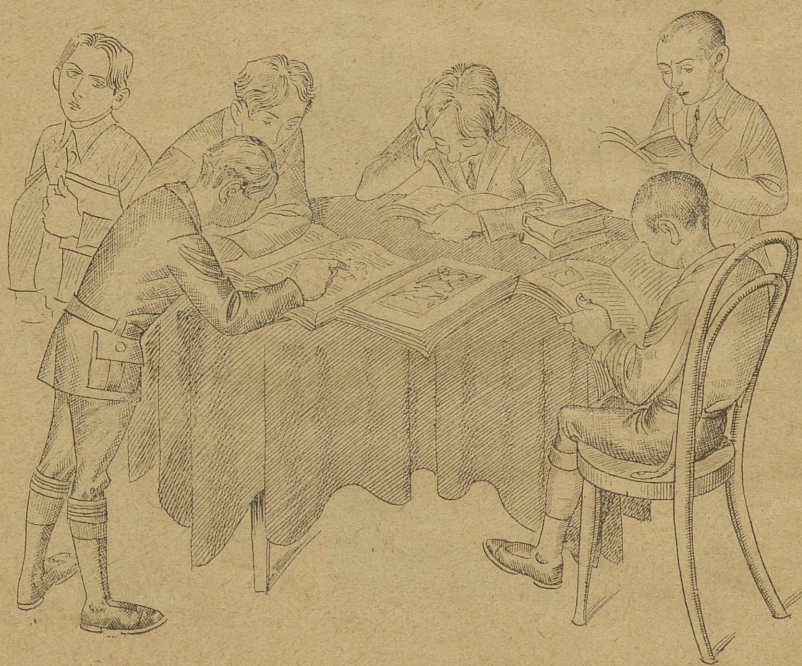


Nadwyżka z Waszej wspólnej pracy idzie na piękne cele. — Oto możecie zapłacić wpis za niezamożnego koleżę. — Cieszy to Was, cieszy się Wasz kolega i jego rodzina, cieszy się zarząd szkoły.

O czwartej zaroily się korytarze i sale uczniami. Wesoły rozgwar huczał we wszystkich klasach o tej niezwyklej porze.

O czwartej z minutami wszyscy zbierać się zaczęli w klasie drugiej, jako najobszerniejszej. Po chwili na katedrę wszedł Stach i wszystko naraz się uciszyło.

— Koledzy! — zaczął. — Dwa i pół miesiące temu na tym samym miejscu mówiłem wam o naszym stowarzyszeniu, rokując mu jak najlepszą przyszłość. Przewidywałem, że



Z nadwyżek sklepu powstaje czytelnia. — W wolnych od zajęć chwilach można tam będzie mile i pożytecznie czas spędzić.

się rozwinie prędko. Wówczas jednak nie przypuszczałem nawet, że rozwój jego pójdzie w tym tempie, w jakim szedł dotąd i że już po dwóch i pół miesiącach zarząd jego będzie musiał się odwoływać do walnego zebrania w celu zasięgnięcia wskazówek, co robić z pieniędzmi.

Umilkł a na sali rozległy się niemilknące długo oklaski.

— Może więc — ciągnął po chwili — wysłuchacie uważnie naszego sprawozdania kasowego i potem zastanowicie się nad planem, który wam przedstawię.

To rzekłszy, zwrócił się do Bolka:

— Czytaj!

Bolek czytał, czytał długo i powoli, co chwila wymieniał jakieś cyfry coraz większe i coraz bardziej nieoczekiwane, aż wreszcie skończył.

Na sali panowała cisza.

— Aż tak dużo! — odezwał się ktoś w kącie.

— I to w tak krótkim czasie! — powiedział ktoś inny.

Wówczas znowu Stach zabrał głos:

— Jak widzicie z tego sprawozdania, dziś towaru w sklepie mamy trzy razy więcej, niż mieliśmy go we wrześniu i tyle gotówki, że moglibyśmy za nią kupić jeszcze drugie tyle towaru. Ale towar w tej ilości nie jest nam potrzebny, chcielibyśmy te pieniądze przeto użyć inaczej i dlatego uznaliśmy za stosowne przedstawić walnemu zebraniu nasz plan. Oto chcemy założyć burzę „Przyszłości“ na 15, 20 miejsc. Dzięki władzom wojskowym, do których zwracaliśmy się w tej sprawie, możemy mieć siedmiopokojowy lokal, chodzi tylko o urządzenie go i zainstalowanie w nim piętnastu, lub dwudziestu pensjonarzy. Pieniądzy na ten cel nam wystarczy. Zarządzam dziesięciminutową przerwę, żebyście mogli przed głosowaniem nad naszym planem się zastanowić.

Umilkł i chciał już katedrę opuścić, gdy naraz ozwały się ze wszystkich stron głosy, które wkrótce połączyły się w jeden wielki krzyk:

— Nie trzeba przerwy! Tu niema nad czem się namyślać. Otwieramy bursę.

— Jak najprędzej! — wołali inni.

— Choćby dziś!

— Dziękujemy zarządowi! dziękujemy! — ozwało się naraz ze wszystkich stron i rześiste oklaski zagłuszyły wszystko.

Wówczas na katedrę wszedł Grześ. Był blady bardzo i wargi mu drżały, jak do płaczu.

— Koledzy! — zawołał nieswoim głosem. — Chcę was prosić jeszcze o jedną małą rzecz. Do naszej spółdzielni należą wszyscy uczniowie z naszej szkoły, prócz jednego. A jest nim Julek Żarowicz, mój kolega. Dlaczego Julek nie należy do naszej kooperatywy nie wiem, ale to wiem, że grozi mu usunięcie ze szkoły, jeśli w ciągu tego tygodnia nie wniesie do kancelarii wpisu. Czybyśmy więc nie uznali za stosowne za niego jednego, nie korzystającego z dobrodziejstw „Przyszłości“, zapłacić wpis. Jest to suma dla nas bardzo nieznaczna, a dla niego będzie ona deską ratunku.

Gdy umilkł cisza panowała na sali. Widocznie nikt z obecnych nie spodziewał się takiej propozycji. Przecie Julek wcale nie chciał się z nimi zadawać. Po chwili jednak ktoś krzyknął:

— Zapłacić!

A wówczas wszyscy podnieśli ręce do góry.

A widać myśl Grzesia była pocziwa i dobra, bo gdy w poniedziałek w czasie dużej pauzy Julek z kancelarii dyrektora wbiegł rozpromieniony do klasy, nikt go nie mógł poznać.

— Gdzie Grześ? — wołał na cały głos, a ujrawszy go, rzucił mu się na szyję i rozplakał.

Od dnia tego wszyscy bez wyjątku uczniowie szkoły byli członkami „Przyszłości“.



Wtenczas poczujecie się naprawdę kolegami. Wspólna praca nauczy Was, że czego nie dokona jedno ramię, to wspólny występek wielu ramion splecionych w braterskim uścisku dokonać może.

